

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

STYCZEŃ 2023/1

magazynhisteria.pl

CIEŃ W CIEMNOŚCI
DAMY SOBIE RADE, BEZ TATY
DLA ELIZY
DOBREJ NOCY, KIRO
OPOWIEŚĆ W KARCZMIE
PRZYJACIÓŁKA ZNAD JEZIORA
ZAPISKI ADRIANA LINMANA
ZŁY TERAPEUTA



SPIS TREŚCI:

CIENŃ W CIEMNOŚCI Krzysztof Szabla	3
DAMY SOBIE RADĘ BEZ TATY Adam Raglan	12
DLA ELIZY Marcin Mierzejewski	17
DOBREJ NOCY, KIRO Martyna Wróbel	35
OPOWIEŚĆ W KARZMIE Jakub Zenker	42
PRZYJACIÓŁKA ZNAD JEZIORA Szymon T. Cwen	50
ZAPISKI ADRIANA LINMANA Dariusz Sprenglewski	55
ZŁY TERAPEUTA Szymon Kosek	68

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Okładka: Joanna Widomska

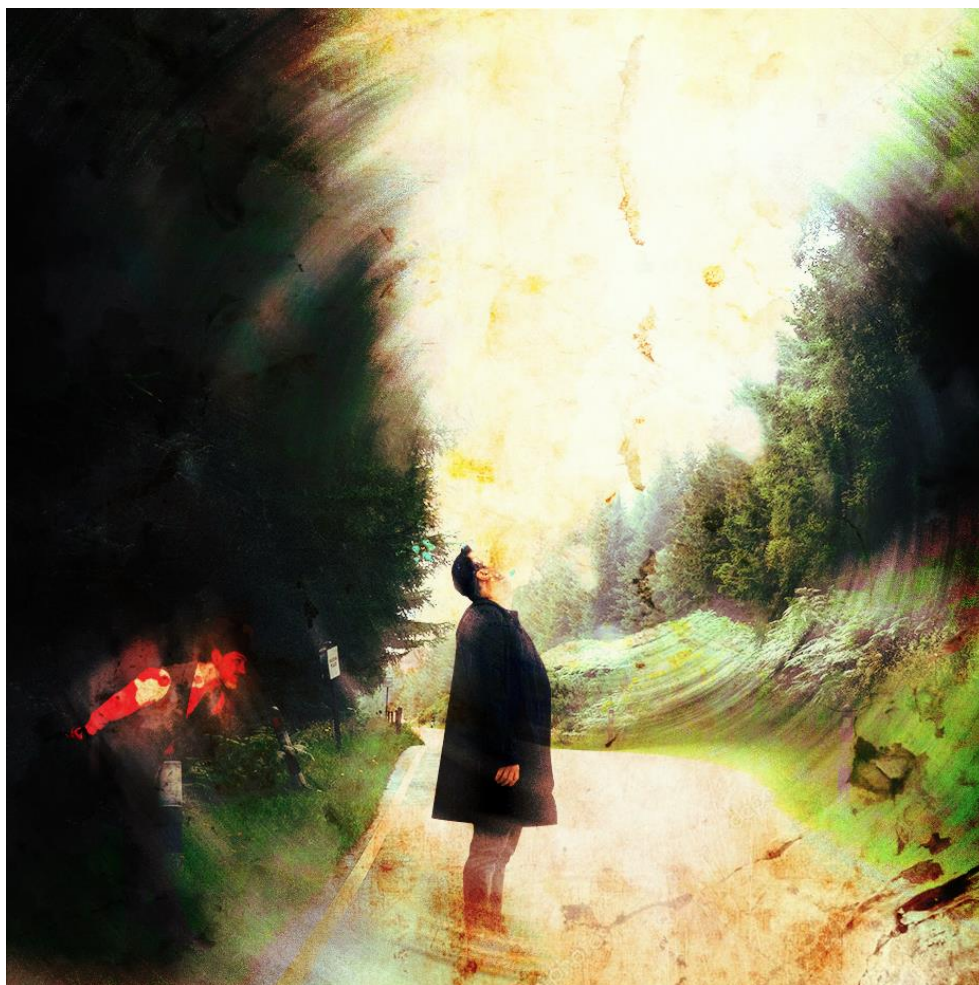
Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Ilona Bielicka, Halmar, Krzysztof Kowalik, Zvyrke

Korekta: Aleksandra Knap, Magdalena Paluch

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.



CIEŃ W CIEMNOŚCI

KRZYSZTOF SZABLA

Cień w ciemności, potem huk. Samochód zawibrował, a mnie oblał zimny pot. Potrąciłem kogoś. Zagapiłem się, zamyśliłem i nie zdążyłem zareagować.

Nie przeszło mi przez myśl, żeby się zatrzymać. Odjechałem, nie oglądając się za siebie. Im bardziej się oddalałem, tym mocniejsze odnosiłem wrażenie, że to tylko wyobraźnia się ze mną bawi. Coś, co zdawało się zaledwie wybojem, nierównością na drodze, wziąłem za istotę żywą, być może nawet człowieka. Przecież to niemożliwe, żeby ktoś wyłonił się z ciemności tak szybko i tak szybko w niej znów się rozpułnął.

Dotarłem pod pierwszy lepszy hotel. Silnik warczał jak dzika bestia, którą ktoś zamknął pod maską, więc go wyłączyłem. Nie miałem ochoty dłużej tego słuchać.

Wysiadłem i przyjrzałem się karoserii. Dostrzegłem kilka krwawych smug na zderzaku. Wyparłem je z pamięci i usunąłem z rzeczywistości przy pomocy chusteczek. W ciemności nikt nic nie zauważył.

Hotelowy budynek był odrażający. Wyglądał na stworzony przez architekta, który nie posiadał odpowiednich zdolności, ani nie kierował się miłością do tego, co robił. W hallu zastałem kilka osób. Na mój widok zamilkli. Gesty, skinienia głową, ciche westchnienia, wykrzywione z nienawiści usta. Czułem się jak Kopciuszek, który przybył na bal tylko po to, żeby zostać zamienionym w żabę. Zamówiłem pokój na jedną noc, choć wiedziałem, że nie prześlę ani minuty.

Kiedy wchodziłem po schodach, słyszałem narastające szmery, przeradzające się w szepty. Im wyżej się znajdowałem, tym bardziej życie na dole wracało do normalności. Wkrótce wszyscy swobodnie rozmawiali między sobą, lecz mnie wśród nich nie było.

Otworzyłem drzwi do pokoju. Ktoś pozostawił na stoliku karteczkę, życząc mi miłych snów. Zastanawiałem się, czy to ta sama kobieta, którą spotykałem w innych hotelach, w innych miastach. Nie byłem w stanie tego potwierdzić, gdyż nie znałem jej stylu pisma. Skoro jednak zawsze na nią wpadałem, czułem, że tym razem to też ona. Wiedziała, który pokój wybiorę, bo zawsze dostawałem ten sam numer. Znała przebieg mojej podróży, bo jądroga prowadziła tak samo. Czasem jedynie przybywałem za wcześnie albo za późno.

Na odwrocie kartki znajdował się numer telefonu.

Czyżby ta efemeryczna niewiasta dała mi możliwość, bym się z nią skontaktował? Spróbowałem pokusić los i zadzwoniłem, ale w słuchawce usłyszałem męski głos, który najwyraźniej należał do właściciela hotelu.

– Czego sobie pan życzy? – zapytał.

– Chciałem sprawdzić, co to za numer. Znalazłem karteczkę na stoliku...

– Tak, ja ją zostawiłem. Czyli nic panu nie potrzeba?

– Nie, przepraszam, że przeszkodziłem.

– Nic się nie stało. Od tego jestem, żeby dogadzać gościom.

Z uczuciem lekkiego zawodu zakończyłem połączenie. Jak mogłem przypuszczać, że tamta kobieta zostawiła po sobie jakikolwiek ślad? Nie była niczym więcej jak tylko cieniem w ciemności.

Usiadłem na łóżku i zacząłem rozmyślać nad tym, co zdarzyło się na drodze. Niewątpliwie kogoś potrafiłem, ale pamiętałem jedynie niewyraźną plamę na granicy

widoczności, która nagle wskoczyła mi namaskę. Nie przypominała człowieka, raczej bezkształtny kleks z testów Rorschacha.

Ktoś zapukał do drzwi. Było w tym odgłosie coś natarczywego, jakby wyjątkowo pilne sprawy przyciągnęły pod próg mojego pokoju nieoczekiwanego gościa.

– Kto tam? – zapytałem, zachowując wrodzoną ostrożność.

– Nazywam się Klaus. Nie zna mnie pan. Jestem jednym z gości hotelu.

– O co chodzi?

– Mógłby mnie pan wpuścić? – nalegał.

– Proszę wejść. Drzwi nie są zamknięte.

Do pokoju wkroczył niemłody już mężczyzna. Widziałem zmarszczki na jego twarzy, a w oczy rzucały się też siwe, rzednące włosy. Poza tym zachowywał się jednak, jakby miał więcej wigoru niż reszta przebywających w tym budynku osób.

– Czegoś pan potrzebuje? – zapytałem, kiedy Klaus zaczął się rozglądać po pokoju.

– W zasadzie chciałem tylko zajrzeć i zobaczyć, czy wszystkie pokoje wyglądają tak samo.

– I do jakiego wniosku pan doszedł?

– W moim ktoś namalował farbą na ścianie dziwny napis.

– Przykro mi. U mnie, jak pan widzi, nic nie ma. Czy ten napis znajdował się tam, zanim pan się wprowadził?

– No właśnie nie. Pojawił się całkiem niedawno, mniej więcej wtedy, gdy pan przybył do hotelu.

– To jakiś żart?

– Nie. Nawet pana nie znam. Po prostu inni goście są mocno zaniepokojeni. W ich pokojach również pojawiły się te bazgroły. A u pana nic...

– Może dlatego, że dopiero wszedłem i nikt nie miał jeszcze okazji wtargnąć do środka, żeby coś namalować?

– Tak pan uważa?

– Oczywiście. Wygląda na to, że jakiś dowcipniśbiega po hotelu z puszką farby i bazgrze po ścianach.

– Może lepiej, gdyby pan sobie stąd poszedł. – Ton głosu mężczyzny zmienił się na groźniejszy.

– W sensie z tego pokoju czy z hotelu? – zapytałem z narastającą irytacją. Facet zaczynał działać mi na nerwy, które już wcześniej miałem mocno nadszarpięte.

– No tak ogólnie. Proszę odjechać.

– Przepraszam bardzo, ale zapłaciłem za pokój i zamierzam spędzić w nim noc. Może pan, skoro panu wszystko przeszkadza, zechce odjechać i zapomnieć o całej sprawie?

– Nie, ja nie zamierzam. – Mężczyzna wyglądał na oburzonego. – Jak pan śmie się tak do mnie zwracać?

– Będę mówił tak jak mi się podoba, a teraz ucieszyłbym się niezmiernie, gdyby sobie pan już poszedł. Nie ukrywam, że nie sprawia mi przyjemności rozmowa z panem.

– Jeszcze zobaczymy.

Już miał wychodzić, ale zatrzymał się tuż przed drzwiami i powiedział:

– Przepraszam za moje zachowanie. Proszę nie brać tego do siebie. Ta cała sprawa trochę nadwyrężyła moje zdrowie psychiczne. Myślałem, że pan to zrobił, ale widzę, że nie. Wygląda pan na przyzwoitego człowieka. Przepraszam.

– Za późno – odparłem, choć może nie powinienem tak ostro reagować, skoro facet wykazał nieco skruchy.

Wyszedł ze spuszczoną głową, a tuż po tym jak zamknął za sobą drzwi, zerwałem się z łóżka i wybiegłem na korytarz.

– Proszę zaczekać.

– Tak? – Odwrócił się, czekając na rewelacje, które miałem mu do przekazania.

– Mógłbym zobaczyć pański pokój?

– Rozumiem, że interesuje pana ten osobliwy napis?

Skinąłem głową.

– No dobrze, proszę za mną.

Udaliśmy się na wyższe piętro. Klaus otworzył drzwi i zajrzał do swojego pokoju z lekką obawą, która bardzo szybko zmieniła się w zdziwienie.

– Nie rozumiem...– wyszeptał. – Nic tu nie ma! Mogę przysiąc, że nie kłamałem.

Przyjrzałem się pokojowi. Był bliźniaczo podobny do mojego, może za wyjątkiem paskudnie żółtych firanek. Nigdzie nie dostrzegłem żadnego malunku na ścianie.

– Może się panu tylko wydawało? – zasugerowałem ostrożnie.

– Ja... Niemożliwe! Proszę zapytać inne osoby. One też to widziały.

– Nie omieszka, gdyż to bardzo osobliwe zdarzenie.

Zostawiłem Klause w pokoju. Nie zamierzał się najwyraźniej z niego ruszać, dopóki coś nie pojawi się z powrotem na którejś ze ścian.

Zszedłem na dół, ale nie zastałem nikogo poza właścicielem hotelu. Goście najwyraźniej rozeszli się już do swoich pokoi.

– Czyli jednak coś pana trapi? – zapytał właściciel.

– Możliwe. Mam pewne pytanie. Czy któryś z hotelowych gości zgłaszał, że z jego pokojem jest coś nie tak?

– Przepraszam, ale nie mogę panu tego powiedzieć.

– Bo wie pan, u mnie w pokoju ktoś nabazgrał na ścianie jakieś dziwne symbole – skłamałem, licząc, że właściciel się czymś zdradzi. Nie pomyliłem się.

– U pana też? – Widać było, że mocno się tym przejął.

– Wygląda na to, że prawdopodobnie w hotelu przebywa jakiś dowcipniś, który szkodzi nie tylko gościom, ale także panu.

– Przepraszam, nigdy wcześniej nie mieliśmy do czynienia z takimi incydentami. Ktoś jest doprawdy niepoważny, ale mogę zagwarantować, że to żaden z gości.

– Czyli jakaś inna osoba weszła do hotelu niepostrzeżenie? Przemknął się obok pana ktoś z farbą i pędzlem?

– Wykluczone! Zamknąłem drzwi i nikt obcy tej nocy nie wejdzie.

– Problem w tym, że najwyraźniej on już tu jest.

– Jeśli jeszcze któryś z moich gości zgłosi podobny przypadek, od razu zainterweniuję.

Na razie jednak sprawa nie wygląda na tyle poważnie, by wzywać policję.

– Rozumiem.

Wracając na górę, natknąłem się na nieznanego mi osobnika, który kulił się pod ścianą.

– Wszystko w porządku? – zapytałem.

– Niby tak, ale... Tamten facet, niejaki Klaus... Może go pan kojarzy.

– Co z nim?

– Był u mnie i zrobił awanturę.

– Niech zgadnę... Skarżył się, że ktoś mu namalował coś dziwnego na ścianie?

– Tak.

– I twierdził, że pan to zrobił?

– Nie, mówił, że to pan chodzi po pokojach i maluje te dziwaczne napisy.

– A to łgarz! Myślałem, że wszystko sobie wyjaśniliśmy.

– Najwyraźniej nie. Mówił też, że potrącił pan kogoś i uciekł.

Poczułem jakby przez ułamek sekundy cały świat zawirował. Skąd ten dupek wiedział? Jechał za mną? A może to on wpadł mi wtedy pod koła? Nie dostrzegłem, żeby miał na sobie jakiegokolwiek zadrapania. Co tu dużo mówić, po takim wypadku powinien obficie krwawić. A więc widział wszystko, a potem przybył do tego hotelu.

– Zwykle kłamstwa – rzekłem, siląc się na oburzenie. – Ten facet to wariat. Radziłbym na niego uważać.

– Też tak mu powiedziałem, ale on potem się na mnie rzucił i... stwierdził, że jestem z panem w zмовie.

– Typowe zachowanie szaleńca. Czyli w pana pokoju nie pojawił się żaden napis na ścianie?

– Nie. A u pana?

– Też nie. Najwyraźniej ten oszołom chodzi od pokoju do pokoju i gada jakieś beznadziejne bzdury na mnie, a może i na pana.

– Dlaczego miałby...?

– Któż zrozumie chorych psychicznie, skoro nawet im się to nie udaje?

Mężczyzna jeszcze bardziej skulił się w sobie. Najwyraźniej był przerażony zaistniałą sytuacją. Nie dziwiłem mu się. Ten cały Klaus zachowywał się bardzo niepokojąco, a na dodatek wiedział o mnie więcej, niżbym chciał. Najlepiej byłoby odjechać i poszukać innego miejsca na nocleg. Albo zamknąć się w pokoju i jakoś dotrwać do rana, choć wiedziałem, że nie będzie to łatwe. Czuję, że ta mocno stresująca noc nieprędko się skończy. Kolejne wydarzenia doprowadziły mnie jednak do szybkiego podjęcia decyzji.

Pod drzwiami mojego pokoju stał Klaus, blokując mi przejście. Założył czarne skórzane rękawiczki i bawił się niewielkim scyzorykiem.

– Musimy pogadać – rzekł, przebiegle się uśmiechając.

– Na to wygląda. Szkalujesz mnie za plecami.

– Czyli twierdzisz, że nikogo nie potrąciłeś?

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– A te ślady krwi na zderzaku?

– To... – zawahałem się o ułamek sekundy za długo. –Zwykła sarna. Wpadła mi pod koła i nie zdążyłem zahamować.

– Co się z nią stało?

– Nie wiem. Pewnie uciekła do lasu.

– Czyli nie zatrzymałeś się, żeby to sprawdzić?

– Nie zamierzałem biegać po nocy za rannymi zwierzakami.

– Jesteś pewien, że to tylko sarna?

– Tak.

– A może to był człowiek?

– Zostaw mnie w spokoju. Wiem, co widziałem.

– A może rozjechałeś kota o dziewięciu ogonach?

– O czym ty bredzisz?

– Wiesz, jaki napis pojawił się u mnie na ścianie?

– Wybacz, ale nie obchodzi mnie to.

– *Giallo*.

– Nie rozumiem.

– Istnieje taka miejska legenda, według której sprawców wypadków prześladowe upiór. Kiedy jadą nocą, za nimi pojawia się widmowe auto i spycha ich z drogi. Wychodzi z niego kobieta w ptasiej masce na twarzy. Z pleców wyrastają jej kryształowe skrzydła. Potem robi się niemiło. Jedynie nieliczni uszli jej z życiem, by móc o tym opowiadać.

– Na przykład ty, tak? Lepiej idź straszyć inne osoby.

– Nie lekceważyłbym tych legend.

– Mam gdzieś ciebie i twoje popieprzone historie. Wynoszę się stąd, tak jak chciałeś.

– Raduje się serce moje, słysząc te słowa.

Klaus odsunął się od drzwi i pozwolił mi wejść do pokoju. Zebrałem pośpiesznie swoje rzeczy, a kiedy go mijałem, nie omieszkałem rzucić mu spojrzenia pełnego nienawiści. Zszedłem na dół, ale nie spotkałem już kulącego się pod ścianą faceta. Widocznie ukrył się w lepszym miejscu.

– Jednak pan wychodzi? – zapytał smutno właściciel.

– Tak. Oceniam ten hotel jako zerogwiazdkowy. Radzę uważać na swoich gości.

Wsiadłem do samochodu, odpaliłem silnik i ruszyłem. Na szczęście nikt nie poprzebijał mi opon, ani nie porozbijał szyb. Musiałem szybko znaleźć jakiegokolwiek miejsce na przeczekanie do rana, bo nie czułem się pewnie za kierownicą. W każdym cieniu widziałem potencjalną osobę, która pakuje mi się pod maskę. Jechałem wolno, nienaturalnie, a otaczała mnie cisza i mrok.

W pewnym momencie dostrzegłem, że ktoś zabrudził mi tylną szybę. Znajdował się na niej jakiś napis. Jedno słowo. *Giallo*. Od razu przypomniałem sobie, że wspominał o tym Klaus i to on na pewno był autorem tego napisu.

Coś innego jednak sprawiło, że krew zamarzała mi na moment w żyłach, by potem silną falą uderzyć w serce i zmusić je do przyspieszonego bicia.

Jechał za mną żółty samochód. Za kierownicą siedział mój niedobry znajomy, Klaus. Nieco przyspieszyłem, ale on bardzo szybko skracał dystans. Czuł się znacznie pewniej na drodze, na dodatek wiedział już, że go zauważyłem. Nie mogłem ryzykować szybszej jazdy w otaczających ciemnościach. Dogonił mnie i uderzył w karoserię mojego samochodu. Znow poczułem nieprzyjemne drgania, jak wtedy, gdy kogoś potrąciłem.

Ten szaleniec chciał mnie zrzucić z drogi. Liczył, że stracę panowanie nad kierownicą i uderzę w drzewo.

Nie rozczarowałem go. Kiedy po raz kolejny we mnie wjechał, moim samochodem szarpnęło i pojazd zaczął się obracać, jakby żył własnym życiem. W końcu uderzyłem w barierkę, a auto Klause docisnęło mnie do niej jeszcze mocniej. Przeczuwałem, że nie dam rady uciec. Był teraz panem sytuacji i mógł rozkoszować się tą chwilą. Kiedy zauważyłem, że gasi silnik i zamierza wysiąść z samochodu, wiedziałem, że istnieje tylko jedna droga ratunku. Piechotą do lasu, licząc, że znajdę jakąś pomoc albo zgubię go w ciemności.

Szybko opuściłem pojazd i przeskoczyłem przez barierkę. Nie było czasu gadać z tym oszołomem. Czułem, że to i tak nic nie da, a wtedy pozostanie mi już tylko bezpośrednia konfrontacja. Wbiegłem pomiędzy drzewa, próbując nie poślizgnąć się na mokrych liściach. Słyszałem za sobą kroki. Pierwszy raz uczestniczyłem w tak groteskowej ucieczce przez las i wydawało mi się to kompletnie irracjonalne.

Drzewa szybko się skończyły. Znalazłem się w miejscu przypominającym park, ogrodzonym ze wszystkich stron przez żywopłoty. Przeszło mi przez myśl, że Klaus chciał, żebym tam pobiegł. Zapędził mnie w kozi róg.

Pod żywopłotem stała jakaś postać. Ruszyłem w jej kierunku, krzycząc głośno, lecz nagle mnie zamurowało. Poznałem, że to ta sama kobieta, którą wielokrotnie spotykałem. Uśmiechała się do mnie i zapewne, gdyby to była inna sytuacja, odwzajemniłbym jej się tym samym i na wszelkie możliwe sposoby wyraziłbym swoją radość. Nie mogła mi jednak pomóc w starciu z szaleńcem, gdyż była drobna i słaba.

Poczułem silne uderzenie w plecy. Klaus wpadł na mnie i przygwoździł do ziemi. W rękę ścisnął scyzoryk, którym zaczął zadawać ciosy. Nie czułem bólu, jakby ten nożyk był zrobiony z plastiku.

Potem usłyszałem huk. Ponownie przypomniał mi się moment wypadku. Czy ten jeden incydent sprawił, że Klaus wybrał sobie mnie na ofiarę? Czy był upiorem zemsty, który miał mnie prześladować podczas każdej podróży?

Musiałby cechować się nieśmiertelnością, a wtedy zrozumiałem, że tak nie jest. Przewrócił się na bok, z cichym jęknięciem. Ktoś krwawił, lecz nie wiedziałem, czy to ja, czy on.

Spojrzałem na dziewczynę. Trzymała w ręku pistolet. Skąd go wzięła? Kim była? Nieważne. Uratowała mnie.

– Dziękuję – wyrzęziłem.

Zacząłem czuć ból, który wlewał się w moje ciało niewidocznymi otworami. Jednak byłem ranny.

– On ścigał ciebie, a ja jego. Każdy ma swojego anioła zemsty – powiedziała kobieta.

Obraz się rozmazał. Widziałem już tylko cienie w ciemności. Gdy wróciła mi świadomość, odkryłem, że nie leżę już w parku, a na skraju drogi. Był dzień, a ja czułem się potwornie poobijany. Nie mogłem się ruszyć. Stało nade mną kilka osób. Mówili coś o tym, że pogotowie już jedzie i że ktoś mnie potrącił, a potem uciekł. Chciałem ich zapewnić, że wcale tak nie było. To ja przyczyniłem się do wypadku i odjechałem, nie oglądając się za siebie. Jednak nie mogłem wydusić z siebie słowa.



DAMY SOBIE RADEĘ BEZ TATY

Adam Raglan

*Dekretem króla Fryderyka III z 1656 roku
11 grudnia ustanowiono dniem spłat wszelkich długów.
Do dziś nazywa się ten dzień Urodzinami Diabła.*

Kiedyś wydawało mi się, że oglądanie świata przez szkło butelki sprawia, że wydaje się on większy. Zaokrąglone boki wykrzywiały obraz pokoju. Tryptyk ze słoniami, wiszący na ścianie naprzeciwko mojej komody, wyginał się tak, że kiedy spoglądałam na niego z pokładu mojego statku, zdawał się być niemal na linii mojego wzroku. Z koi natomiast, kiedy patrzyłam na niego przez okno, wydawało się, że wznosi się nade mną jak słońce tuż przed południem. Słoniowy,

majestatyczny zenit. A kiedy ktoś przekręcił butelkę denkiem w ich stronę, zaczynały przybierać prawdziwie chaotyczne, okrągłe kształty. Światło załamywało się i zakrzywiało, rozciągając trąby i kły w kulistych kręgach. Tak, przez denko najciekawiej oglądało się pokój. Mogłam spoglądać w nie całymi godzinami, dniami, miesiącami. Kochałam tę butelkę. Kochałam jej denko, słonie i kochałam grudzień.

Lubiłam, kiedy Becia przychodziła do pokoju ojca, żeby udekorować pokój na święta. Z udawanym zmęczeniem prosił, żeby tego nie robiła, ale obie wiedziałyśmy, że tylko się droczy. Dentysta sam z siebie był zbyt poważny, żeby zapraszać świąteczny klimat do domu, ale nie protestował, kiedy córka rozświetlała lampkami wszystko dookoła. Rzadko jej odmawiał. Widziałam migotliwe światła zza otwartych drzwi sypialni profesora i domyślałam się, jak pięknie musi wyglądać reszta domu.

Kiedys... pamiętam jak Becia wkradła się z chichotem do pokoju ojca i zawiesiła maleńką bombkę na szyjce mojej butelki. Stałam oczarowana na dziobie i wychylałam się daleko do przodu, jak galion, nie mogąc oderwać z ozdoby wzroku. Ale on się wściekł. Skrzyczał ją wtedy. Nie zdarzało się to często. Upomniął, że przecież butelka mogła się zbić, ale nie o to mu naprawdę chodziło. Albo nie tylko o to. Na początku grudnia zawsze był drażliwy. Chodziło o mnie. Nie cieszył się na moje urodziny tak, jak ja.

Zbliżające się Boże Narodzenie przypominało mi, że niedługo się spotkamy. Przecież obiecał się mną opiekować. Obserwowałam go przez cały rok i czekałam na dni, w których wracał z pracy i wyciągał z brązowej aktówki niewielkie, metalowe pudełeczko. Moje słodkie skarby. Sięgał po ukryty w pozytywce kluczyk, otwierał nim puzdro schowane głęboko w sekretarzyku i przerzucał do niego zęby przemycone z pracy. Liczyłam je w pamięci. Styczeń – dwa siekacze, jeden kieł, trochę zepsuty, sześć ósemek i trzy trzonowce. Dobry początek roku. Luty – dwie mleczne jedyńki, pięć ósemek, trzy kły... Profesor sumiennie przygotowywał się do mojego dnia.

Ale ten grudzień był inny. Zmienił się nagle, kiedy na początku drugiego tygodnia profesor nie wrócił z pracy. Nie wiedziałam, dlaczego.

Pierwszej nocy niespecjalnie się tym przejęłam. Zauroczyły mnie światełka, których nie zgaszono aż do rana. Wydawało mi się to nawet miłe. Ale kiedy nie wrócił następnego dnia i kolejnego, zaczęłam się niepokoić. Co się stało? A potem w jego łóżku pojawiła się dojrzała kobieta z kręconymi włosami. Kładła się wcześniej, ale zasypiała późno. Przez długie godziny wpatrywała się w ciemny pokój. Zdawało się, że patrzy czasem nawet na mnie. Ja też patrzyłam. Do jedenastej, dwunastej, drugiej w nocy...

Wreszcie się wścieklam, bo profesor obiecał przecież się mną opiekować. Nadchodziły moje urodziny. Jak mógł mnie teraz zostawić? Nie byłam sama. Słyszałam w ciągu dnia krzyki Beci

przeplatane jej płaczem i spokojny, ciepły głos kobiety, próbującej ją uspokoić. Jak mógł *nam* to zrobić?

Zaraz potem przyszedł ten dzień, a on nadal nie wracał. Do końca liczyłam na to, że przyjdzie, przed północą zamknie sypialnię na klucz, wyciągnie puzderko ze skarbami dla mnie, otworzy butelkę i pozwoli mi najeść się do syta na cały kolejny rok. Obiecywał – nie przyszedł.

Szamotałam się po statku przez dwa dni wściekła i głodna. Przywieriałam do szkła i sunęłam z uporem pazurami o denko – nocą, kiedy tamta przechodziła spać w jego pokoju. Budziłam ją co godzinę. Skoro ja mogłam cierpieć, czemu nie ona? Czemu nie wszyscy?

Wtedy zdarzyło się, że po raz pierwszy od jego zniknięcia do sypialni przyszła Becia. Stała w drzwiach i przyglądała się niedawno obudzonej ciotce. Kiedy kobieta bez słowa uchyliła skrawek kołdry, dziewczynka położyła się obok i zaczęła cicho płakać.

– Wróci, prawda? – szeptała. – Wydobrzeje i wróci. Powiedz, że wróci.

Kobieta zapewniała ją cicho, że tak właśnie będzie. Potem zasypiały przez jakiś czas we dwie, a ja przestałam skrobać nocami o szkło. Jej też przecież obiecywał, że będzie się nią opiekował. Nie budziłam Beci.

Mogłam wyjść z butelki w każdej chwili. Nic mnie przed tym nie powstrzymywało. Złożyłam obietnicę – on nazywał ją paktem – że nie będę tego robić tak długo, jak będą mnie karmić. Kochałam swoją butelkę i wygodne życie w jej wnętrzu. Kochałam swój statek. Ale profesor nie dotrzymał swojej części umowy, a ja nie miałam zamiaru godzić się na więcej niż rok postu. Czemu bym miała? Szczególnie że czułam ich zapach. Były na wyciągnięcie ręki. Wystarczyło otworzyć sekretarzyk. Mogłam sięgnąć po puzdro, nie potrzebowałam kluczy ani pozwolenia. Ale powstrzymywałam się jeszcze. Może wróci? Może sam mi da to, co tak sumiennie zbierał przez kilka miesięcy? Będzie jak dawniej?

Nie wracał.

Tuż przed Wigilią miałam dość czekania. Ciotka nie zapalała już lampek. Nawet słonie zaczęły mnie irytować. Widziałam ich kły. Działy mi na nerwy. Chciałam wgryźć się w nie, zawisnąć na ostrym krańcu i odgryzać kawałek po kawałku, kiedy zwierzęta rzucałyby łbami ze złości i strachu, nie mogąc mnie z siebie zrzucić.

A nocami wsłuchiwałam się w płacz Beci.

Na święta nie wyjechały nigdzie, nie zaprosiły gości do siebie. Nie wiem, czemu. Tamtej nocy wyszłam z butelki. Rozprostowałam nogi i ręce, przekonując się, jak co roku, że to nie świat z butelki wydawał się taki ogromny. To ja wewnątrz niej była maleńka. Na zewnątrz nie musiałam już taka być. Pogładziłam pazurem dywan. Przejechałam palcem po ścianie i musnęłam sufit. Każdy zakątek pokoju miałam na wyciągnięcie łapy. Stałam tak chwilę i napawałam się zewnętrzem, ignorując śpiącą obok kobietę. Nachyliłam się nad nią w końcu, żeby z bliska poczuć

zapach człowieka, a ona otworzyła oczy. Nie poruszyła się. Jej źrenice rozszerzyły się gwałtownie, ale nie pozwoliłam jej nawet drgnąć. Leżała sparaliżowana i wpatrywała się we mnie ze strachem. Odsunęłam się wreszcie i uspiłam ją na powrót.

Powolnym krokiem wyszłam na ciemny korytarz. Poszłam do Beci. Dwoma płynnymi ruchami posunęłam w kierunku jej sypialni. Uchyliłam drzwi i stanęłam w progu. Stałam tam przez kilka godzin. Wsłuchiwałam się w jej spokojny oddech i wczuwałam w chaotyczne, łagodne sny. Pogładziłam ją łapą. Dziewczynka była taka delikatna, taka krucha. Jednym ruchem mogłam zmiażdżyć jej duszę i wyssać słodkie życie. Mogłam wnikać w nią i zżerać drobne kości przez następne kilka miesięcy. Należało mi się to. Nie dotrzymał obietnicy. Czekał na mnie cały stos zębów, ale mogłam w zamian wziąć sobie ją.

Wyszłam, wróciłam do siebie.

Na następne dwa dni zamknęłam się w swojej kajucie. Tylko na chwilę wychodziłam w środku nocy i stawałam nad kobietą, czekając aż otworzy oczy i spojrzy na mnie tylko po to, żeby poczuć odrobinę jej strachu. Miałam cierpieć sama? Budziła się potem nad ranem roztrzęsiona i spocona, ale ze wschodem słońca wracała do niej racjonalność, która kazała o mnie zapominać.

Nocą po świętach wiedziałam już, że nie warto było dłużej czekać. Wiedziałam, czego chcę.

Ponownie poszłam do Beci. Tak słodko spała. Nie zatrzymałam się w progu. Wyciągnęłam swoje smukłe ciało, ułożyłam obok niej i wtuliłam się mocno. Dziewczynce też przecież obiecywałam... Czulałam jak wzdrygnęła się przez sen, a na jej skórze pojawiła się gęsia skórka. Okłamał nas obie. *Już dobrze. Już spokojnie. Ja o ciebie zadbam.* Wtulałam się w nią kilka godzin, chłonąc zapach jej snów i rozpacz. Kojący, dziecięcy zapach.

W końcu podniosłam się i wróciłam do sypialni. Podeszłam do sekretarzyka, wsadziłam do niego łapę bez otwierania drzwiczek, przeniknęłam prosto do puzdra i schwyciłam garść zębów. Wróciłam z nimi do Beci i położyłam się znów obok niej.

Ja o ciebie zadbam.

Jeden dla mnie. Słodki dziecięcy ząbek chrupnął w mojej paszczy, pozwalając rozkoszy rozlać się po cielsku. Pierwszy od ponad roku. Cudowny.

Drugi dla niej. Rozchyliłam usta Beci. Wsunęłam w nie dorodną, zdrową ósemkę, która kiedyś komuś, kto na nią nie zasługiwał, sprawiała zbyt dużo bólu. Położyłam ją Beci na języku.

Kolejny dla mnie.

Kolejny dla niej.

Jeden dla mnie.

I jeden dla niej.

– Ja o ciebie zadbam – szeptałam uspokajająco prosto do dziecięcych snów.

Dla mnie

Dla niej.

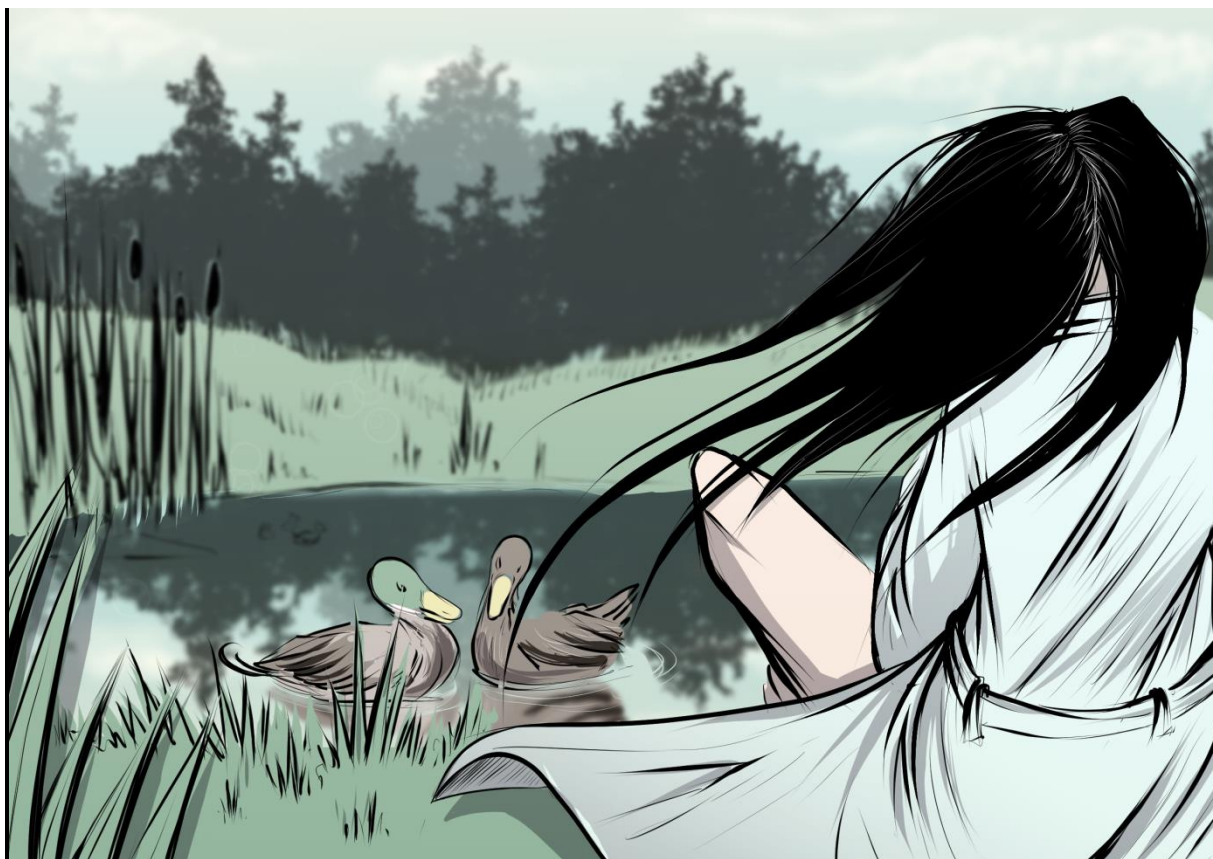
– Nie zostaniesz sama.

Łykała je grzecznie i cicho.

Nakarmiłabym nas obie do syta, gdyby w progu nie stanęła nagle ona. Spojrzała wprost na mnie, a nogi się pod nią ugięły. Wrzasnęła głośno, a jej krzyk aż mnie zabołał. Odpowiedziałam tym samym. Rozsypałam pozostałe zęby po pokoju, uniosłam się pod sam sufit i wrzasnęłam na nią raz jeszcze. A potem rzuciłam się na kobietę z furją, pozwalając sobie na to, czego od dawna naprawdę pragnęłam. Zagnieździłam się w jej wnętrzu i zatopiłam w gęstym szpiku. Był mój. Cały był mój. O ileż słodszy od zębiny. O ileż pożywniejszy. Skoro profesor i tak miał już nie wrócić, musiałam znaleźć sobie inny dom niż stara rafandynka. Czemu nie miałyby to być korytarze jej kości?

Pozostałam blisko Beci. Nadal mogłabym jej pilnować i karmić, kiedy nadarzyła się okazja. Karmić do syta, ostrożnie wsuwać przez sen pod język perełki zębów i rozkochać ją w słodkim smaku sztywnych tkanek. Mogłam czekać aż dojrzeje i dołączy do mnie. Wtedy znalazłybyśmy kogoś, kto złożyłby nam nową obietnicę. Razem dałybyśmy radę. Dostałybyśmy inną butelkę z grubym denkiem. We dwie czekałybyśmy na świąteczne lampki w domu innego profesora i świętowałybyśmy razem swoje urodziny.

Jeden dla mnie, drugi dla niej.



DLA ELIZY

Tej, którą prawdziwie pokochał

Marcin Mierzejewski

Opowiadanie inspirowane jest relacjami o przeżywaniu „alternatywnego życia”, najpewniej spowodowanego wytwarzaniem przez organizm DMT. Relacje te (choć nie w pełni wiarygodne, w końcu bazujemy tu na nieudokumentowanych naukowo ustnych i pisemnych zapewnieniach) pokrywają się ze sobą w zbyt dużej liczbie aspektów, by mogły być w całości bagatelizowane – zwłaszcza biorąc pod uwagę współczesne badania na temat syntezy DMT w mózgu. Relacje pochodzą z różnych okresów, miejsc i źródeł. Wspólnie tworzą świadectwo tego, jak krucha jest fasada rzeczywistości. I że nigdy nie możemy być jej pewni.

Ciepłe promienie sierpniowego, wschodzącego słońca rozlały się błogo po jego policzku, lepiąc się słodyczą do siwiejących już włosów brody. Świeżo wyprane, śnieżnobiałe firanki powiewały sennie poruszane wiatrem przepęlnym zapachem skoszonej trawy.

Mężczyzna docisnął do piersi miękkie ramię Elizy, czując jej spokojny oddech na karku. Wsłuchując się w brzęczenie pszczoł radośnie podskakujących między kwiatami krzewu tuż przy otwartym oknie, obserwował w dali ciemne kształty kaczek to podrywających się, to upadających z powrotem na taflę stawu.

To jednak nie pszczoły, nie powiew porannego wiatru, nie ciepło letniego słońca uniosło jego powieki. Zza ściany dobiegł go radosny śmiech Damiana i Łucji. Dwóch małych diabełków, które, nie wiedząc jakim cudem, zawsze wstawały tuż przed nim. Tak jakby siedmiolatka i jej o dwa lata młodszy brat wbudowany mieli biologiczny budzik, który codziennie podrywał ich z rana na nogi, by mogli całym powietrzem zgromadzonym w płucach obudzić i ojca. A ten obudzić Elizę.

Odwróciwszy się na drugi bok, patrzył spokojnie na wciąż śpiącą żonę. Jej cienkie, blade usta w lekkim uchyleniu odsłaniały śnieżnobiałe, równe zęby. Na policzku, tuż przy poduszce, dostrzegł zaschnięty ślad śliny, a w kąci oka śpiocha. Była piękna. Każdy cal jej twarzy, każdy por, włos, pieprzyk sprawiał, że to arcydzieło natury stawało się jeszcze doskonalsze. Że ta cudowna kobieta, pełna czułości, inteligencji i empatii, prześcigała go jako człowieka w każdym aspekcie. A i tak pozwalała mu się kochać, i opiewała go swoją opieką i miłością. Miłością, o której w młodości nie odważył się nawet marzyć.

Przez uchylone drzwi przedarł się niezauważenie, jakby licząc, że nikt go nie zauważy pomimo wszystkich kilogramów osadzonych na czterech łapach, karmelowy pies. Spojrzawszy na – jak sądził – wciąż śpiących żywicieli, chcąc ukryć się przed diabełkami grasującymi za ścianą, pies wskoczył ciężko w nogi łóżka i, obróciwszy się trzy razy, upadł między łydki mężczyzny, rozlewając jeszcze więcej ciepła po pościeli.

Mężczyzna uśmiechnął się i pozwolił snowi raz jeszcze przymknąć powieki.

Elizę poznał na uniwersytecie, gdy świat jeszcze wydawał się szorstki, niedostępny, wrogi. Dopiero ona pokazała mu, że może być inaczej. Dopiero ona, chwyciwszy go za drżącą dłoń, przeprowadziła go przez życie pełne szczęścia i beztróski.

Wielokrotnie wracał do momentu, gdy ujrzał ją po raz pierwszy – w dusznej sali wydziału biologii, gdzie czekał cierpliwie zarówno na egzaminującego profesora, jak i na osobę, która zdawać miała razem z nim egzamin ustny. I choć Eliza biolożką była wybitną, co doprowadziło ją na szczyt kariery naukowej, on sam zdecydowanie inteligencją i odczytaniem z tej dziedziny nie grzeszył. A mimo to, gdy ujrzał ją wchodzącą przez stare, drewniane drzwi, siadającą obok, poprawiającą ciemne włosy opadające na ramiona, gdy ujrzał ją przy sobie, wiedział, że nic mu nie grozi. Że egzamin to tylko formalność.

Jej uśmiech utwierdził go w tym przekonaniu.

I tak połączył ich wspólny egzamin. Tak zrodziło się uczucie, które cierpliwie ewoluowało.

Przyjaźń w swoim niewinnym stadium trwała dwa lata. Dwa lata pełne śmiechu, imprez, zaufania. Tylko przy niej mógł poczuć się sobą. A ona tylko przy nim mogła się otworzyć. Długie dyskusje i opowieści ciągnęły się całymi nocami, telefonicznie i na komunikatorach, a uśmiech nie schodził im z ust.

Nigdy jednak nie dopuszczali do siebie wizji miłości. Choć zdecydowanie była ona obecna – już od pierwszego wejrzenia – była ona dla nich tak oczywista, że wręcz niezauważalna. Dopiero gdy Eliza w dniu urodzin została wystawiona przez jednego z facetów z Internetu, przyjaciel zabrał ją na wycieczkę do ruin zamku, by wiosennym dniem wspinać się na co mniejsze zwały skał i siadać na miękkim mchu. Tam, na szczycie świata, ich dłonie ostatecznie się spotkały, a wszystko stało się jasne.

I tak rozpoczęła się ich wieloletnia miłość, miłość znana tylko z cikliwych romansów.

Eliza długo się bała, że nigdy nie zrealizuje marzenia o posiadaniu dziecka. Wspinając się po szczeblach kariery naukowej, uzyskując kolejne granty i wyróżnienia, coraz bardziej obawiała się, czy bezpłodność jej siostry nie dotknęła także jej. A mimo to, pewnego grudniowego dnia, test zapowiedział przybycie na świat Łucji.

Śmiech malca rozweselał więc następną wigilię spędzoną z rodziną. Wierząc się w kołysce, chwytając wszystko, co wpadło w jej ręce, Łucja stawiała się gwiazdą wieczoru. I gwiazdą ich życia. Brat mężczyzny zaś, jak to on, przechodząc od krzesła do krzesła, podając kieliszek po kieliszku, powtarzał jak mantrę, by się zabezpieczali, bo świat drugiej takiej gwiazdy nie zniesie.

O drugim dziecku dowiedzieli się w dniu, w którym na tylnym siedzeniu, wciąż lekko przerażony, ale i podekscytowany, do ich domu przyjechał Klops. Rudawe, niepozorne szczenię ze schroniska, które wyrosnąć miało na olbrzyma śliniącego się wszędzie tam, gdzie się przczołgał.

Zauważywszy więc, że zarówno pies, jak i brzuch Elizy zaczynały rosnać, postanowili, że mieszkanie w bloku będzie za małe. Przenieśli się, jak zawsze razem, jak zawsze zgodni, do małego domku na obrzeżach miasta, by tam wieść sielskie życie – pełne miłości, wsparcia i śmiechu.

Ulubionym zajęciem Elizy było karmienie rozweselonych kaczek dryfujących wolno na nieruchomej tafli stawu. Otulała się cienkim, zwiewnym szlafrokiem i siadała

z podkulonymi nogami na miękkiej trawie, by drobną dłonią, tą dłonią, która co noc ogrzewała mężczyźnie serce, rozsypywać karmę dla ptaków. Odziana w biel, z rozrzuconymi na wietrze czarnymi włosami, Eliza wyglądała jak niema bogini w ludzkim ciele otoczona mitycznym ptactwem.

A kaczki zaś, tak do Elizy przywiązane, nie raz przyczłapywały koślawo pod same okna domku, by tam wołać o więcej jedzenia. Damian i Łucja wyglądali wtedy przez uchylone okiennice i krzyczeli beztrosko razem z ptakami, aż powaleni zmęczeniem nie opadali ciężko na materac, by dalej śmiać się w nieboskłony.

Mężczyzna, porzuciwszy na starcie karierę naukową, oddał się pracy zdalnej, dzięki czemu codziennie, dzień w dzień, oczekiwał przy laptopie dźwięku kół na żwirze podjazdu. Uśmiechniętej Elizy, przekomarzających się dzieci, szczekającego z radości psa. Codziennie wychodził na taras, by z rękoma na piersi patrzeć, jak do domu zmierzał cały jego świat.

Pierwszy raz zwrócił uwagę na stojącą w kącie szafę dopiero parę lat po wprowadzeniu się do sielskiego domku. Dotąd stała zamknięta, zazwyczaj zablokowana co kolejnymi to kartonami lub dziecięcymi zabawkami.

Jednej nocy jednak, wsłuchując się w głęboki, spokojny oddech Elizy, trzymając jej delikatną dłoń między swoimi palcami, spoglądał w ciemny kąt pokoju – na niedomknięte drzwi szafy.

Czy kiedykolwiek do niej zaglądał?

Nie był w stanie sobie przypomnieć.

Jakim cudem nie był w stanie sobie przypomnieć? To była jego sypialnia. To była jedna z zaledwie trzech szaf w pokoju.

Coś było nie tak. Z każdą sekundą, z każdym mruknięciem uspiętego w nogach psa, zdawał sobie sprawę, że coś było tutaj nie tak.

Wtuliwszy się głębiej w ramiona ukochanej, wpatrywał się przenikliwie tak długo, że mógłby przysiąc, że dostrzegł błysk czerwonego światła z głębin szafy.

Coś było nie tak.

Powtarzał jak mantrę, pozwalając umysłowi na paranoiczne myśli.

Coś było nie tak.

Ostatecznie zasnął, ukojony ciepłem Elizy, jednak przez najbliższe dni myśl wracała.

Że coś w szafie było nie tak.

Oddech. Ból. Pisk.

Przeraźliwe brzęczenie rozrywało mu bębni w uszach, rozbijało czaszkę, smażyło mózg. We wszechotaczającej ciemności wirowały czerwone gwiazdy wbijające się w drżące gałki oczne.

Pustka. Ból. Wydech.

Fala ciepła rozlała się pod jego twarzą, a ciemność zalał metaliczny zapach krwi. Leżał. Leżał nieruchomo, niezdolny poruszyć żadną kończyną. Przy wydechu słyszał szelest połamanego doszczętnie nosa. Gdzieś w dali rozlegał się coraz głośniejszy wrzask miejskiego świata.

Ciałem Oskara wstrząsnęły konwulsje, które przewróciły go na plecy. Ciemność zalana została przeraźliwym blaskiem. Zwolna podnosił powieki, ignorując wlewającą się do oczu krew. Dopiero wtedy zrozumiał, że z ust, niepohamowanie, kolejnymi salwami wpływała ciepła, szkarłatna ciecz, porywająca ze sobą pojedyncze zęby.

Przyzwyczajony się choć trochę do blasku dnia, spojrzał kątem oka, walcząc z rosnącą słabością, w bok na swoją rękę – na szkarłatną od krwi postrzępioną kość ostro wskazującą na niebo. Luźne tkanki – niegdyś mięśnie i żółtawy tłuszcz – zwiślały w dół, brudząc się o asfalt.

Nad głową mignął mu cień – twarz jakby znajoma. Twarz młodego – o wiele młodszego, jak pomyślał, od niego mężczyzny.

– Oskar, kurwa, żyj.

Student zalany był łzami i wrzeszczał o pomoc.

Oskar jednak, tracąc przytomność, rozchylił niemal bezzębne usta.

– Eliza... Zadzwoń.

Zapłakany mężczyzna znieruchomiał w przyływie nadziei, że z leżącym na ulicy przyjacielem będzie jednak dobrze. Że będzie żył. Po chwili dopiero dotarły do niego słowa, które usłyszał wśród krzyków i syreny karetki.

Pochyliwszy się ostrożnie, by nie daj boże nie upaść na konającego przyjaciela, wyjąkał.

– Stary? Jaka Eliza? Kto to Eliza? Stary, zostań tu...

Oskar jednak odpłynął w ciemność, pozwalając, by pogotowie zabrało go do najbliższego szpitala.

Młody student spoglądał na odjeżdżającą karetkę, czekając na przesłuchanie przez policję, i zastanawiał się, o jaką Elizę mogło Oskarowi chodzić. O jaką Elizę przyjacielowi ze studiów mogło chodzić.

Kobieta ignorowała zbliżającą się do końca wskazówkę oleju w baku. Jedyne, co ją w tamtym momencie interesowało, to pusta, nocna przestrzeń rozciągająca się wokół autostrady.

Wsluchiwała się we wściekle wyjący silnik starego diesla, który ostatkiem sił próbował ją przekonać, by zwolniła. Nie mogła. Nie mogła pozwolić na to, by ciemność ją pochłonęła.

Mijała kolejne błyszczące białą oznaczenia boków autostrady, które zlewały się w jedną, cienką linię. Mijane światła wlewały się do środka samochodu i nagle gasły, potęgując ból rozsadzający głowę. Starła się nie patrzeć na boki – poza zasięg świateł. Tam, gdzie ciemność wiała się nad skorupą ziemi, pulsując, rosnąc.

Gęsta smoła spływała kaskadami z nieba i tworzyła coś na podobieństwo odciętego od zewnętrznego świata tunelu. Lepkie ściany ciemności.

Ona zaś pędziła przed siebie, nieskończenie długą szosą, próbując się wyrwać. Nie było jednak zakrętu. Nie było wyjazdu. Tylko jedna, nieskończenie długa prosta droga. I ona. Pędzący obiekt w nicości.

W dali dostrzegła światło. Rozjarzony biały znak drogowy zawieszony nad autostradą. Wszystkie przydrożne latarnie zniknęły, a odbłaski wtopiły się w ziemię. Nie istniało nic poza tym jednym źródłem światła.

Była coraz bliżej, chociaż każdy centymetr drogi rozciągał się w kilometry. Gnała niepohamowanie, nie mogąc dobić do celu. Pulsujące, mlaszczące chorobliwie zwały ciemności wlewały się już na krawędzie drogi oświetlonej reflektorami. Widziała, jak to jednolite, smoliste cielsko próbuje dotknąć kół jej samochodu. Próbuje ją powstrzymać.

Warczenie silnika przerodziło się w nierówny charkot. Kierownica drżała w jej dłoniach, a pedały pulsowały ostrzegawczo.

Samochód zwalniał coraz bardziej, aż w końcu stanął w miejscu, parę metrów przed rozświetlonym, diodowym znakiem.

Za nim rozlegała się czarna ściana. Nieprzejrzana kurtyna. Wysiadłszy z samochodu, poczuła nagłe uderzenie niepokoju. Nie było świata. Nie było nikogo. Była tylko ona. Tunel. I to co za granicą światła.

Mlaskanie ustało, tak jak ustał czas. Nie odważyła się iść dalej. Wpatrywała się niemo przed siebie, trzymając się spoconymi dłońmi o uchylone drzwi samochodu. I czekała.

Nic jednak się nie stało. Kurtyna trwała nieporuszona.

Znak drogowy zamigotał złowroźnie, aż zgasł całkowicie. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą ciągnęła się nieskończenie ku górze czarna zasłona, rozciągnął się zakręt autostrady

widoczny w świetle księżyca. Powietrze przebijał nieprzerwany klakson duszony przez wściekłych kierowców w ostatniej chwili mijającej ją lewym pasem.

Kobieta jednak trwała, czując łyzy na policzkach, wpatrzona w dal. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą, za granicą światła, ciągnął się kres mroku.

Oskar usiadł przy okrągłym stole i spoglądał na plecy przygotowującej śniadanie Judyty. Miał dwadzieścia sześć lat. Od wypadku minęły trzy lata. Większość ran zdążyła się zabiścić, większość kości zrosnąć. On jednak czuł, że wewnątrz wciąż jeszcze coś się goiło.

Z Judytą mieli gdzieś wyjść wieczorem. Gdzie? Nawet nie pamiętał. Być może na zakupy bożonarodzeniowe. Być może do kina. Ostatnio coraz częściej gubił wątek, coraz częściej zapominał o tym, co powinien zrobić.

Wpatrując się w rozczochrane blond włosy dziewczyny, która akurat kroїła coś wolnymi ruchami, czuł ucisk w żołądku. Ten sam ucisk, który towarzyszył mu przez ostatnie trzy lata.

Zjadłszy wspólne śniadanie, Judyta pocałowała go czule i wyszła, zamykając za sobą bezdźwięcznie drzwi.

On zaś, pogrążony w rosnącej tęsknocie, wpatrywał się przez okno na sypiący śnieg. A z oczu spływały mu łyzy.

Kobieta stała nieruchomo, dociskając się do ściany spoconymi plecami. Czowała rosnącą panikę, która odbierała jej zdolność ruchu. Była jak w potrzasku własnego, lodowatego przerażenia.

Tym razem była to lampa. Mała lampka stojąca na biurku po drugiej stronie pokoju. Lampka, której nie znała. Której nie pamiętała. Której nie pasowała.

Lampka, która zdawała się, nie wiedzieć czemu, odstawać od otaczającej rzeczywistości. Jeden element wyrwany z kontekstu.

Kobieta próbowała odwrócić wzrok, czując, jak szklany klosz skrywający żarówkę, poczyna rosnąć w jej oczach. Pochłaniać coraz większą tkankę rzeczywistości. Cały świat uginał się pod jej ciężarem, załamywał się, kruszył.

Żółtawe światło czerwieniało z każdą sekundą. Po jasnych ścianach rozlewały się kręgi jasnego szkarłatu, przepływały na sufit, rozciągały się dalej i dalej – ku niej.

Za oknem słyszała gwar ulicy, z której dopiero co przyszła. Ulicy, po której sunęły, gdyby maszyny, dziesiątki sztywnych ludzi. Ludzi niepasujących. Ludzi nieprawdziwych.

Kobieta zamknęła oczy i próbowała zapanować nad oddechem.

Wdech.

Wydech.

Czerwień.

Wdech.

Otworzywszy oczy, osunęła się na kolana. Wszystko wróciło do normy, jak gdyby nigdy nic się nie stało. Jakby to wszystko było tylko w jej głowie.

Było?

Co właściwie się stało?

Co kobieta dziś robiła?

Choć próbowała, nie mogła przypomnieć sobie minionego dnia. Tygodnia. Miesiąca. Była plikiem danych, nie nadpisany, chaotycznym, przepelnionym nieuporządkowanymi wartościami czekającymi, aż życie je zakoduje i nada czytelny kształt.

Wiedziała, że dłużej tak nie wytrzyma w niepewności. Że musi się dowiedzieć, co się z nią dzieje. Lekarze nie pomagali. Lekarze rozkładali ręce. Lekarze jej przeszkadzali.

Wciąż na czworakach, wyciągnęła laptopa z rzuconego w bok plecaka i zaczęła szukać.

Zniechęcona kolejnymi creepypastami, rozpoczęła wątek, w którym dokładnie opisała zarówno autostradę, mechanicznych ludzi, nieruchomą wodę, jak i czerwoną lampę.

Po miesiącu, spośród morza spamu, dostała jedną, konkretną odpowiedź. Komentarz, na który długo czekała.

Coś podobnego przeżyłem parę lat temu. Ta sztuczność. To, jak element nie pasuje do reszty. Ale też cię przyciąga.

Mieszkam z dziewczyną, oboje mamy po dwadzieścia sześć lat, ale to nie jest moje życie. Brzmi absurdalnie. Nie mówię, że jestem w jakimś matriksie lub innym uniwersum. Wiem, że jestem w realnym i jedynym świecie. Nie jestem idiotą. Po prostu to nie jest moje życie. Tamto właściwe zostało mi odebrane.

Parę lat temu miałem wypadek – dosyć mocno potamał mnie samochód na ulicy. Ostatecznie wyszło, że to moja wina. Do dziś zarzucam sobie właśnie tę jedną rzecz – że to wszystko, kurwa, moja wina. Że gdybym nie był takim debilem i rozejrzał się na boki, może mógłbym odczuwać teraz coś innego niż ta zjebana tęsknota.

Miałem normalne, zajebiście szczęśliwe życie. Skończyłem studia, znalazłem świetną pracę, nawet dorobiłem się dwójki dzieciaków. Rozumiesz? Przeżyłem w małym domku nad stawem wiele lat, tysiące dni, jeden po drugim. Zasypiałem przy Elizie (żonie) i budziłem się,

gdy dzieciaki zaczynały krzyczeć. Gotowałem obiady – codziennie coś innego – czytałem książki, grałem w gry. Moje życie było, kurwa, sielanką.

Do momentu gdy w sypialni nie zaczęła mnie niepokoić szafa – jak u ciebie ta lampka. Z autostradą nigdy nic nie miałem, rzadko w ogóle jeździłem autem – z perspektywy czasu chyba ma to sens. Ale szafa była jak twoja lampka. Czulem, że coś jest z nią nie tak. Nie mogłem spać. Wpatrywałem się w nią jak nienormalny. Co noc.

Potem z szafy zaczęło świecić czerwone światło. Ledwie zauważalnie. Wiesz, tak luna, nie reflektor. Ale światło też nie było normalne. Było jakby wylane z plastiku. Z pleksi.

Nie mogłem przestać o tym myśleć. Ta jebana szafa absorbowiała całą moją uwagę. Zamiast pracować (pracowałem zdalnie), siedziałem na skraju łóżka i gapiłem się. Z czasem przestałem nawet się myć. Po prostu musiałem się patrzeć – coś było nie tak i to zajebiście nie tak. Nawet mój pies zaczął się mnie bać. Nie podchodził. Wcześniej spał z nami co noc – teraz siłą byś go nie przeniosła w moje otoczenie.

Eliza (żona) po tygodniu zaczęła się martwić. Kochała mnie, ja kochałem ją. Jak diabli. Taka miłość się zdarza tylko w filmach. Za taką miłość można zabić. I martwiła się.

W końcu postanowiła dać mi przestrzeń. Przeniosła się do swojej siostry, wstępnie na tydzień. Wiadomo, pewnie już szukała po psychiatrach, ale wolała na start dać mi czas dla siebie. A ja dalej patrzyłem na szafę.

Z dnia na dzień była coraz bardziej sztuczna., ale nie wiedziałem, jak to wyjaśnić. Nie mogłem dojść ze sobą do porozumienia. O co chodziło? Co było nie tak?

Aż zrozumiałem – ta szafa nie była stamtąd. To nie ona była sztuczna, a wszystko inne wokół. Łóżko, dom, dzieci... Eliza... Wszystko to było sztuczne, rozumiesz? Nieprawdziwe – dlatego szafa tak bardzo się różniła. Ona jedyna była prawdziwa w tym zakrzywionym świecie.

Wtedy czerwone światło wylało się z szafy, a ta urosła.

Mieszkam teraz z dziewczyną, ale to nie jest moja żona. Elizę utraciłem w momencie, w którym obudziłem się na szosie. Mając dwadzieścia trzy lata. Mając dwadzieścia trzy lata przeżyłem, kurwa, całe życie. Miałem, do kurwy, dwoje dzieci, rozumiesz? Miałem dwoje dzieci!

Chodziłem z nimi po lekarzach, odprowadzałem do przedszkola, pomagałem przy balu szkolnym, uczyłem jeździć na rowerze, ścinałem włosy, czytałem do snu...

Wypadek był na tyle poważny, że przez rok nie mogłem chodzić. Gorzej z ręką. Do dziś ciężko nią ruszać. Lekarze mówili, że cudem przeżyłem – kwestia sekund, minut. Ale odratowali mnie. Tłumaczyli mi potem – psychologowie itd. – że tamto życie nie istnieje. Do

dziś chodzę na terapię, ale, kurwa, co z tego, skoro jedyne, o czym myślę, to to, że to nie jest moje życie.

Jestem z Judytą, dobrze nam razem, chyba nawet mnie kocha, ale przecież wiem, że to nie Eliza. Że gdzieś tam na mnie czeka to drugie życie, że Judyta nie jest moim ostatecznym szczęściem. Wiem, jak to brzmi, wiem, że jestem potworem, ale nic nie mogę na to poradzić.

Przecież miałem, kurwa, dzieci. Kocham je. I każdego jebanego dnia tęsknię za nimi coraz mocniej. Jedyne o czym myślę, to że chcę tam wrócić. I tęsknię. Jak pojebany.

Oskar nie spodziewał się odpowiedzi od dziewczyny, która zaczęła wątek. Nie wierzył nawet, by była dorosłą. Całość jej historii brzmiała jak jedna ze strasznych opowiadań internetowych, w które w jego młodości wierzyły dzieciaki i rozsyłały sobie nawzajem.

A mimo to pewnego dnia odpisała. I zaprosiła do siebie. Ich historie nie spajały się – on próbował wrócić do „dawnego życia” z realnego świata, ona zdawała się wierzyć, że żyje w świecie alternatywnym. A mimo to postanowił skorzystać z zaproszenia i przyjechać do kobiety po drugiej stronie kraju.

Drzwi otworzyła mu – ku jego zaskoczeniu – dorosła, atrakcyjna kobieta, starsza od niego, pewna siebie, z niewyspaniem malującym się na twarzy. Niemal czuł empatycznie niemoc i strach kobiety, gdy tylko na niego spojrzała, a ich wzrok się skrzyżował.

Zaprosiwszy go do środka, od razu otworzyła laptopa, nie zapytawszy go nawet, czy się czegoś napije. I tak by się nie napił. Był tam w innym celu. I chciał to zrobić jak najszybciej.

Kobieta, jakby zrozumiała jego pośpiech i intencje, rzuciła szybko:

– Patrz – otworzyła jedną z dziesiątek kart w przeglądarce – DMT.

Spojrzała na niego, potem na ekran i wyświetlaną stronę z Wikipedii, potem znowu na niego, jakby oczekując, że nagle wszystko zrozumie i jej przyklaszcze. Widząc jednak, że jej prawda objawiona wciąż jest niejasna, przerzuciła kolejną kartę i usiadła.

– DMT to substancja wytwarzana w mózgu, gdy coś nam grozi. Ekstremalnie grozi. Przynajmniej takie są badania. DMT ogólnie zazwyczaj wyszukasz w necie jako narkotyk, ayahuasca, ale to tylko jedna rzecz. Udowodniono, że mózg może wytwarzać DMT, kiedy czuje zagrożenie – by sobie trochę pomóc.

Oskar stał nadal, nie zdjawszy nawet płaszcza czy ośnieżonych butów, i słuchał, czując pękające zwolna serce.

– Mówiłeś, że miałeś wypadek. I uroiłeś sobie życie. To pewnie DMT, rozumiesz?

Zabolały go te słowa. „Urojenie”. Dla niego tamto życie było czymś znacznie więcej niż tylko narkotycznym transem. Oczywiście wierzył jej – wierzył, że w obliczu wypadku organizm naćpał go i pokazał alternatywne życie, by ukoić go w gehennie. Bo czemu miałby nie wierzyć. Ale dla niego nie było to urojenie. Dla niego było to prawdziwe życie. W przeciwieństwie do tego, w którym się obudził.

– Takich historii, jak twoja, jest mnóstwo. Czytałeś inne wpisy w wątku? – Otworzyła wściekle kolejną kartę. Oskarowi nie podobała się agresywność kobiety. – Dokładnie takie same historie. Komuś umarła matka, a potem przeżył życie, gdzie to ona chowała go do grobu. Kogoś pobili i niemal zadusili na mieście, a on przeżył trzydzieści lat w sielance. Ale to nie wszystko...

Kobieta dwukrotnie, z przesadną siłą, nacisnęła przycisk myszy i otworzyła jeszcze jedną, jedną z dziesiątek, zakładkę. Oskar zastanowił się, czy wszystkie dotyczą tego samego. Czy całe życie kobiety skoncentrowane jest tylko na tej jednej sprawie.

– Inne źródła, patrz. Jedno nawet z dziewiętnastego wieku. Jakiś pisarzyna opisał historię swojej córki. Spadła z drzewa, połamała nogi, a po chwili obudziła się i krzyczała, że kobieta, która próbowała jej pomóc, nie jest jej matką. Że to nie jej mama – oderwała wzrok od ekranu i spojrzała mu w oczy. – Oczywiście to była jej matka.

– To historia sprzed dwustu lat, serio myślisz...

– To jedna historia na setki. Setki takich samych. Inne życie, które okazuje się fałszywe, sztuczne.

Kobieta zamknęła laptopa i podeszła do lampki na biurku, jakby miałby to być dowód na wszystkie jej tezy.

– Skąd mamy wiedzieć, czy aktualnie nie przeżywamy alternatywnego życia? Skąd mamy wiedzieć, czy zaraz lampa czy szafa nie okażą się sztuczne? A właściwie... prawdziwe? – chwyciła za klosz lampy obiema dłońmi, jakby chcąc ją zmiażdżyć. – Skoro nasz mózg może nas naćpać w dowolnym momencie, to skąd mamy wiedzieć, czy zaraz nie stracimy wszystkiego? Że nie obudzimy się w slamsach, w bólu, bliscy śmierci?

Oskar chciał stamtąd uciec. Chciał się wyrwać i zapomnieć.

– Czemu mi to mówisz? – spytał tylko. – Czemu w ogóle mnie zaprosiłaś?

To pytanie wyraźnie wybiło ją z rytmu. Widać było, że nigdy wcześniej o tym nie pomyślała. Że po prostu potrzebowała moc komuś o tym powiedzieć. Komuś, kto jej uwierzy. Teraz jeszcze nie zdawała sobie sprawy z paradoksu.

– DMT... – skwitowała bezsilnie.

Jadąc samochodem przez wiejskie drogi, byleby nie wjechać na autostradę, Oskar powtarzał w pamięci słowa kobiety. Wszystkie przytoczone historie. Relacje. Źródła. I strach w oczach kobiety. Strach i zmęczenie.

Widocznie była postawiona pod ścianą. Była przerażona i nie radziła sobie z rzeczywistością. Oskar nie miał co do tego złudzeń. Kobieta była obłąkana i nie należy się do niej zbliżać.

A mimo to wszystko, co mówiła, miało sens. Także historia o DMT.

Zastanawiał się, czy może to wykorzystać. Czy może zmusić swój organizm do naćpania się.

Kobieta, po tym jak wycofał się do drzwi, zdradziła mu, że myślała o tym samym. Wielokrotnie. Tak często, że aż znalazła dostawcę. Dostawcę, który był w stanie załatwić DMT. Próbowala – rzecz jasna – na marne.

– Nic. Nic a nic, rozumiesz? Doustnie, w nos, palenie – nic. To niemożliwe. Nawet jeśli miałabym nie przeżyć przygody życia, powinno mnie jakkolwiek trzepnąć. A tutaj nic...

Oskar nigdy nie ćpał i ćpać nie miał zamiaru. Nigdy też nie chwycił za butelkę, nawet w najgorszych chwilach swojego – obecnego – życia. A mimo to...

Ekran telefonu przypiętego do deski rozdzielczej rozświetlił się. Judyta.

Jeden sygnał. Drugi. Trzeci. I uśmiechnięty awatar jego dziewczyny.

Czuł ogrom wyrzutów sumienia. Napierający ciężarem na jego piersi, niepozwalający na zaczerpnięcie oddechu. Czuł go każdego dnia, w każdej chwili, gdy na nią spoglądał. Oszukiwaną, zwodzoną. Nie będącą świadomą tego, że tęskni do innej kobiety – z którą przeżył całe życie.

Oskar zatrzymał samochód na zajezdni autobusowej i napisał do kobiety, od której właśnie próbował uciec jak najdalej. Poprosił o kontakt do dostawcy.

Musiał go dopytać raz jeszcze – jak wziąć, ile czekać, czy to na pewno bezpieczne. Spoglądając na żółtawy proszek na talerzu, czytał kolejne to informacje od nieznanego mężczyzny.

Wiadomości przez privatenote wysyłali sobie od tygodnia, aż ostatecznie podstarzały mężczyzna odważył się zaufać Oskarowi i przyjechać do jego miasta, by za naprawdę grube pieniądze sprzedać zaledwie pół grama substancji. Doliczając do tego koszt VPN, do którego zainstalowania zmusił go dostawca, Oskar miał nadzieję, że będzie to tego warte.

Upewniwszy się, że wystarczy mała ilość donosowo, nie doustnie, Oskar zwinął samoprzylepną kartkę, na której Judyta przed wyjazdem do rodziców spisała listę zakupów, i pochylił się.

Kobieta nie mogła sobie przypomnieć. Nie tyle minionego dnia, tego, co jadła na śniadanie lub z kim rozmawiała. Kobieta nie mogła przypomnieć sobie całego swojego życia. Wpatrując się w migoczącą lampkę na biurku, czuła się obco. Jak wśród nieznanymi ludzi.

Nic. Kompletnie nic. Pustka.

Żadnych wspomnień. Żadnych wydarzeń.

Jedynie Oskar.

To nie mogło być przecież jej życie.

Migoczące światło zaczynało się gubić. Gdy żarówka gasła, światło wciąż tkwiło w powietrzu, jakby nie rozumiejąc, że powinno zniknąć. Umrzeć. Jakby zastygło.

W pleksi – pomyślała.

DMT miało pomagać przejść przez śmierć – przynajmniej taka jest teoria. Dlaczego więc ona trafiła do piekła?

I kim był Oskar – mężczyzna, który wtargnął do jej uniwersum? Tylko jej uniwersum?

Czemu jej mózg na to pozwala?

Lampka zgasła.

Narkotyk zadziałał, przynajmniej na tyle, na ile Oskar był w stanie stwierdzić. Za każdym razem bowiem, gdy świadomość ponownie wtargała do jego rozszalałego umysłu, wszelkie wspomnienia dopiero co przeżytego raju ulatywały, pozostawiając za sobą zanikającą z każdą sekundą euforię. Pozostawiając jedynie żal. Żal i rosnącą coraz bardziej tęsknotę.

Nie było go stać na kolejne działki. Już i tak nie tylko wyczerpał wszelkie oszczędności, ale zdążył wziąć chwilówkę na spłatę poprzedniej.

Poza tym nic nie pamiętał. A to go frustrowało. Aczkolwiek mimo to miał nadzieję, nadzieję rozpalaną widokiem twarzy Elizy. Bo tę, mimo wszystko, w końcu udało mu się przypomnieć.

Leżąc więc na łóżku, czując na sobie nagie ciało Judyty poruszające się rytmicznie w akompaniamencie jęków, myślał tylko o niej – o drobnej twarzy ozdobionej koroną czarnych włosów.

Czując zbliżający się orgazm, którego nawet nie chciał, chwycił za dłonie Judyty i położył sobie na szyi, dociskając. Ta zrozumiała. Jednak chciał więcej.

Mocniej.

Docisnął dłonie, ignorując zdziwiony wzrok dziewczyny.

Mocniej.

Weiskał poczerwieniałe od ucisku dłonie w tkankę szyi, czując że dziewczyna przystaje i próbuje się wyrwać. On jednak dociskał dalej, czekając na błogie omdlenie.

W ostatnim momencie Judyta wyrwała się i upadła przerażona w nogach łóżka. To przywiodło mężczyźnie kolejne wspomnienie. Kolejną falę emocji. Kolejną tęsknotę za utraconym.

Dziewczyna, usiadłszy na krawędzi materacu, spojrzała na niego, niedowierzając. W jej oczach widział strach i zdziwienie. Jakby zamiast Oskara dostrzegła kogoś zupełnie obcego.

Poczuł się jak potwór. Fale wstydu do siebie, współczucia do Judyty, niemocy wobec świata zalały jego serce żrącym kwasem. Czuł się jak potwór – jednak przestawało mu to przeszkadzać.

Może być potworem. Może być potworem, bo w tamtym świecie był dobrym mężem. Ojcem. Człowiekiem.

I musi tam wrócić.

Do Elizy.

Wewnątrz coraz ciaśniejszego samochodu kobieta drżała z napięcia. Włączone światło nad głową miało odgrodzić ją od ewentualnej ciemności. Od tego, co pulsowało na zewnątrz.

Niczego jednak nie było. Wszystko zdawało się być w jak najlepszym porządku.

Ona jednak wiedziała, że musi się wydostać. Że musi wrócić.

Musi.

Przecież to nie było jej życie. To tylko mózg. Mózg z nią pogrywał, dawał i odbierał nadzieję. Przesyłał znaki, szczeliny, przez które ona była zobowiązana się precyzyjnie.

Mózg chciał, by się obudziła.

W mijanych samochodach dostrzegała ciemne postacie ludzi. Ludzi, którzy próbowali ją prześcignąć. Wyprzedzać lewym pasem. Wtedy dociskała jedynie pedał gazu. Nie mogła na to pozwolić. Mimo pędu wiatru coraz mocniej poruszającego samochodem na boki, mimo jęku silnika, drżenia kierownicy, kobieta przyspieszała. Nie mogła pozwolić, by ją spowolnili.

Minąwszy kolejny zakręt, ledwie utrzymawszy kontrolę nad pojazdem, znalazła się na prostej, znanej drodze autostrady. A mimo to – w dali – nie dostrzegła znaku. Nie dostrzegła światła, a ciemność nie oblała kleistą breją tunelu.

Nie było znaku.

Wciąż pędząc, krzyczała w pustkę, pozwalając szybko zaparować. Krzyczała głosem pełnym rozpacz. Głosem pełnym bólu.

Krzyczała – pozbawiona nadziei.

Krzyczała.

Chciała, by cierpieli – ci, którzy stawali jej na drodze. Chciała, by za to zapłacili. Chciała strącić ich na boki, rozbić, rozerwać wnętrzności.

Po samochodach jednak nie było śladu.

A kobieta krzyczała dalej.

Judyta wyprowadziła się. Nie żałował już. Czuł z początku smutek, pewnego rodzaju porażkę, jednak w obliczu towarzyszącej mu od lat tęsknoty i pustki, nie miały one większego znaczenia. Teraz był sam. I mógł oddać się w pełni samemu sobie. I Elizie. Damianowi. Łucji. Tym, których w rzeczywistości kochał.

Spod podniesionego płata mięsa wystawała żółtawa tkanka tłuszczowa. Oskar wbił nóż głębiej w swoje udo, by odciąć kawałek całkowicie. Ból był tylko z początku – gdy krew sączyła się najintensywniej. Z każdym kolejnym cięciem było lepiej. A męka zagłuszała emocje.

Żółta, śliska, granulowana tkanka błyszczała w świetle, co chwilę zalewając się krwią. Materac, na którym siedział, przesiąkał coraz mocniej szkarłatną ciecżą, a mięśnie drżały maniakalnie, gdyby w ostatnim przeblysku rozsądku mózg próbował go powstrzymać.

Nienawidził mózgu. Nienawidził siebie. Za to, że pozwolił sobie to zrobić. Że pozwolił się odurzyć – i zaznać szczęścia. Nienawidził siebie za to, że przeżył.

Ekstremalny ból. To mogło przywołać DMT. To mogło mu pomóc tam wrócić. Do dzieci. Psa. Żony. Małego domku. Kaczek. Muśnięcia letniego słońca.

Ból. Chciał po prostu czuć ból.

Dostawca zamilkł dwa miesiące wcześniej. Zresztą, nawet gdyby Oskar chciał, nie byłoby go stać na więcej. Kobieta za to dostępna była online miesiąc temu. Został sam.

Płat mięsa upadł koło konwulsyjnie podrygującego uda i mlasnął miękko, rozpryskując drobiny krwi wokoło. Oskar wpatrywał się w odsłoniętą tkankę, kiwając głową do przodu i w tył. Drobne światełka migotały mu przed oczyma, a szum drażnił uszy.

Kuchenny nóż przecinał co chwilę skórę na udzie kierowany drżącą, niekontrolowaną już ręką. Kolejne cienkie, czerwone linie przecinały się, tworząc nierozwiązywalny labirynt.

Codziennie, zbierając siły, by spróbować raz jeszcze – by zadać sobie ból – zamykał się w jednej z szaf i czekał. Czekał, aż coś się stanie. Aż ujrzy czerwień.

Jego cierpliwość jednak się skończyła.

A w szafie była jedynie ciemność.

Oskar przeżył, choć i tym razem zaledwie chwile dzieliły go od wykrwawienia się. W ostatnim przebłysku świadomości wbił nóż w udo, najwidoczniej przecinając jedną z ważniejszych żył lub tętnicę. Sam nie wiedział i mało go to obchodziło.

Obchodziło go jedynie, że tym razem mózg nie pozwolił mu oddać się szczęściu. Że pozwolił mu jedynie czuć ból. Nieopisywalny, krwawiący niepoohamowanie ból.

Znalazła go Judyta. Nieprzytomnego, bladego, na przesączonym czerwienią materacu. Z nożem w ręce i dziurą w udzie. Kawalka mięsa nigdy nie udało się odnaleźć. Ale to też mało go obchodziło.

Po miesiącu gojenia się ran obchodziły go tylko drzwi, przed którymi stał. Zziajany, osłabiony. Drzwi do mieszkania kobiety, która go w to wszystko wciągnęła. I której obowiązkiem była teraz pomoc w znalezieniu dostawcy.

Otworzywszy samemu drzwi, znalazł się w zupełnie innym mieszkaniu w żadnym aspekcie nieprzypominającym tego, do którego trafił kilka miesięcy wcześniej. Niemal każdy mebel, każda szafka, sofa, sprzęt elektroniczny były rozerwane na części. W całości pozostała jedynie włączona lampka na podłodze. Walające się wszędzie wióry i kawałki drewna zapewne były pozostałościami po biurku.

Nie zamknął za sobą drzwi. Nie wiedział, po co. Po co robić cokolwiek. Jedyne, co chciał, to dostać kontakt. I wyrwać się stamtąd. Do Elizy.

W drugim pokoju znalazł kobietę. Siedziała niemo na kanapie, wpatrzona w szarą, popękaną ścianę, na której odznaczał się ślad po ściągniętym obrazie. W kącie, przykryty grubą warstwą tynku, leżał popękany, niemal złamany na pół telewizor.

Jak udało jej się dokonać takich zniszczeń?

Gdy stanął w przejściu, kobieta odwróciła się ku niemu. Chorobliwie żółta skóra opinała ciasno czaszkę a podkrążone, niemal czarne oczy łapały na niego niczym zwierzę, które wyczuło zagrożenie.

Próbowała wstać, ale zabrakło jej sił. Przerażliwie chude nogi łamały się pod nią i rzucały wychudzonym ciałem na popękaną kanapę, po której walały się gnijące resztki jedzenia. Pleśń wisiała w powietrzu, drażniła nozdrza, osadzała w płucach.

– Czego chcesz?

Jej głos był ledwie słyszalny. Drżący. Słowa wypadały przypadkiem z sinych ust.

– Daj mi kontakt. To działało. Działa.

Kobieta jeszcze raz spróbowała podnieść się na nogi, tym razem skutecznie. Chwiejąc się na boki, kroczyła ku niemu drobnymi stąpnięciami. Kurz i tynk wznosiły się wokół jej gołych, grzybiejących stóp.

– Ciebie nie ma – szła dalej, nawet na niego nie patrząc. – Ciebie nie ma, wiesz? Ciebie nie ma.

Dostrzegł w jej ręku nóż. Mały nożyk do obierania warzyw. O wiele mniejszy niż ten, którym wyciął sobie kawałek nogi.

– Ciebie nie ma. Ty chcesz wrócić. Ty nie masz gdzie. Jak może... – zachwiała się i niemal upadła na najeżone kawałki drewna pod ścianą. Wyprostowawszy się, kontynuowała, będąc już niemal przy nim – jak może istnieć „tam”, skoro istnieje... „tu”.

Kobieta rozejrzała się nagle wokoło, gdyby dosłyszawszy kogoś jeszcze w pokoju. Kogoś, kogo on nie był w stanie dostrzec.

Oskar zrozumiał niebezpieczeństwo, w jakim się znalazł. Chciał się wycofać, jednak nagła myśl nawiedziła jego umysł – a wyobraźnię przejęła twarz Elizy. Być może tym razem...

Kobieta dźgnęła go nagłym, pełnym ostatecznej adrenaliny ciosem prosto w szyję, zagłębiając w całości drobny nóż. Wychudzone ciało kobiety napierało, odrzucając Oskara do tyłu. Upadłszy, czując ciepło spływające po szyi, sutkach, brzuchu, patrzył, jak kobieta uderza po raz drugi. Trzeci. Czwarty. Jak uderza cios za ciosem, charcząc niemal niezrozumiale:

– Ja... Nie ty... Ja... Nie ty...

Oskar osunął się na ziemię, a kobieta wbiła mu nożyk w czoło. Zbyt płytko, by zranić dotkliwie mózg. Wystarczająco głęboko, by z czaszki wylać ciepłą, szkarłatną strużkę.

Leżąc na zakurzonych panelach, Oskar pozwalał krwi zalać swoje oczy, aż cały świat nie oblał się znaną mu czerwienią.

W ostatnim przeblysku świadomości błagał, by miał rację. Błagał, by dane mu było zaznać szczęścia raz jeszcze. Raz jeszcze ujrzeć tych, których kochał.

Dociskając ręką nogę, wciskała pedał gazu najsilniej, jak potrafiła. Na autostradzie nie było nikogo. Nikogo, kto mógłby dostrzec opryskany krwią szkielet za kierownicą. Nikogo, kto mógłby ją powstrzymać.

Asfaltowa droga wylewała się na boki, niczym fale martwego morza w przypiływie zagarniając coraz więcej i więcej. Wyłączyła reflektory. Pozwoliła, by jedynym źródłem światła był migoczący w dali znak drogowy.

Fale ciemnej smoły spływały dalej, aż podnosiły się ku górze i niczym wodospad pięły się coraz wyżej, by ostatecznie zamknąć się w ciemnym cylindrze. Po ścianie której pędziła ona.

W tunelu. Idealnie ciemnym, okrągłym tunelu. Pośrodku którego majaczyło blade, chorobliwe światło.

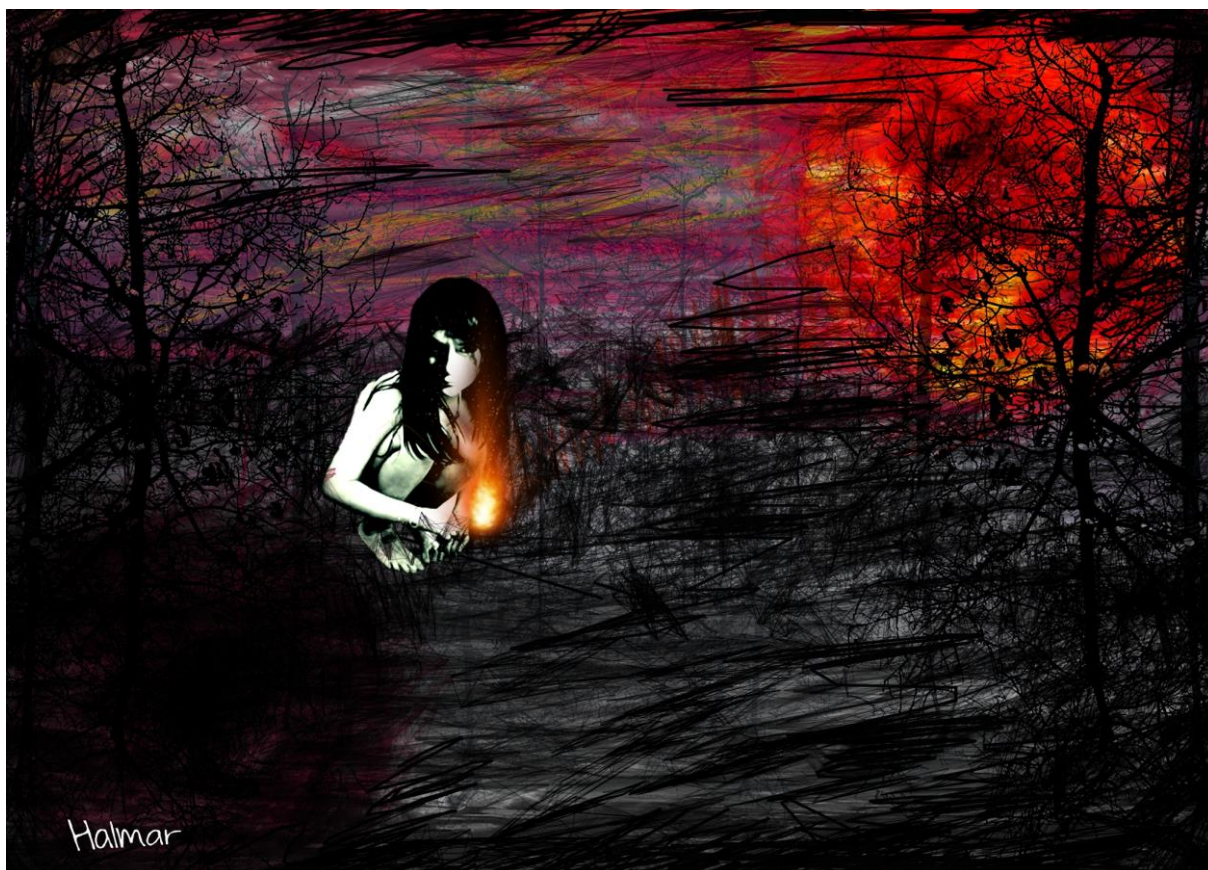
Otworzyła usta, jednak nie miała sił krzyknąć. Tym razem nie zawaha się. Tym razem wiedziała, że ma rację. Musi mieć rację. Ona. Nie on. Ona. Nie on.

Ona. Ona. Ona.

Słowa na znaku drogowym zabłysły trzy metry dalej:

Pamiętaj o korytarzu życia.

Kobieta wjechała w ścianę czerni rozlewającą się za granicą światła.



DOBREJ NOCY, KIRO

Martyna Wróbel

W tej samej chwili, w której palce zaczęły mu kostnieć, gdzieś w oddali głośno i gwałtownie zaszeleściły gałęzie.

„To sarny. To na pewno tylko sarny”, powiedział sobie, dmuchając w dłonie. Dziękował Bogu, że chociaż jeszcze jego oddech jest ciepły. Zaczął drżeć. Sam nie mógł powiedzieć, czy z zimna, czy ze strachu. Ale już dawno przestał słyszeć odgłosy pogoni. Żadnych strzałów ani szczekania psów. Panowała niemal martwa cisza. To śnieg tak uspokajał świat. Co prawda skrzypiał pod stopami, ale kiedy nikt po nim nie stapał, trwał w ciszy. Ptaków nie było wiele, wszystkie czekały na cieplejsze dni. Nocami tylko sowy urządzały sobie dość przerażające koncerty. Przy akompaniamencie nawołujących się wilków

brzmiało to co najmniej upiornie. Ale było o wiele lepsze niż mrozące krew w żyłach odgłosy pościgu.

Poruszył skostniałymi palcami i poczuł mrowienie. Wsunął ręce pod pachy, ale szybko je stamtąd wyciągnął. Chwycił hubkę i podjął kolejną próbę rozpalenia ognia.

Krzemień znalazł wczoraj, zupełnie przypadkiem, kiedy wygrzebywał spod śniegu przegniłe liście, by wyłożyć sobie nimi szałas, który zbudował. Nie była to idealna konstrukcja, ale zapewniała w jakiejś mierze ochronę przed wiatrem. A ten potrafił być niezwykle dokuczliwy.

Jednak mimo posiadania krzemienia wciąż nie udawało mu się rozpalić ognia. Nocą przed zamrożeniem ocaliło go tylko zagrzebanie się pod grubą warstwą liści.

Przemarznięte, mokre gałęzie nie chciały się palić, skazując go na mróz i ciemność. Tym razem obiecał sobie, że nie ustanie w próbach, dopóki mu się nie uda. Wiedział, że jest w beznadziejnej sytuacji, ale przed śmiercią chciał chociaż jeszcze jeden raz spojrzeć w rozgrzewające, cudowne płomienie.

Kiedy zmarzniętymi dłońmi udało mu się wykrzesać pierwsze iskry, noc już dawno zapadła nad lasem. Gdzieś w pobliżu pohukiwała sowa, mając pewnie nadzieję na jakąś kolację. On też chętnie coś by zjadł. Wczoraj udało mu się znaleźć nadgryzionego królika. Głód, desperacja i brak ognia zmusiły go do zjedzenia surowego mięsa. Nie odrzucała go także myśl, że dojada padlinę po wilku czy innym leśnym drapieżniku. W życiu zdarzają się takie nieciekawe sytuacje, że ludzka godność schodzi na dalszy plan, a zaczyna liczyć się walka o przeżycie.

Chwilę jeszcze trwało, zanim jedna z iskier opadła na liście i trafiła akurat na takie miejsce, które zajęło się ogniem.

Nie wierzył własnym oczom. To było jak cud. Jakby ktoś dawał mu nadzieję i gwarancję dalszego życia. Jakby wcale nie znajdował się w samym środku lasu pochłoniętego całkowicie przez syberyjską zimę.

Usłyszał ciche westchnienie i nie był pewien, czy to on je z siebie wydał. Ogień był jednak tak piękny, że zasługiwał na jakiś przejaw zachwyty.

Chwilę wpatrywał się w niego, a później podniósł wzrok, żeby z satysfakcją obserwować, jak wokół ogniska topnieje śnieg. To, co zobaczył, sprawiło, że krzyknął. Bezgłośnie, bo jego przemarznięte gardło nie było w stanie wydać żadnego dźwięku. Oblał go zimny pot, a kark i plecy przeszył dreszcz niepokoju.

Przed nim, po drugiej stronie ogniska, zalana jasnym światłem ognia i bladą poświatą księżycą stała mała dziewczynka. Wyglądała na zmarzniętą i wycieńczoną. Jej twarz

przybrała jasnoniebieską barwę, usta miała spierzchnięte i oszronione. Brązowe włosy związane w niedbały, cienki warkoczyk. Przytulała do siebie pluszowego misia, a ubrana była jedynie w cienką koszulkę nocną. Jasne oczy wlepiała w człowieka po drugiej stronie ogniska. Jednak nie było najdziwniejszym to, że była bosa, a to, że jej małe, dziecięce stópki nie zapadały się w śniegu.

Najpierw przetarł oczy, a później uderzył się w twarz z całych sił. Zabolało, ale nie pomogło. Błada dziewczynka stała tam, gdzie wcześniej. Bez ruchu, patrząc na niego nieustannie. Nie była tylko wytworem przemarzniętego mózgu. Musiała istnieć naprawdę.

- Na pewno jesteś zmarznięta – powiedział, a właściwie wycharczał po kilku próbach przemówienia. Kosztowało go to wiele samozaparcia. Odezwanie się do niespodziewanego gościa było trudne, zwłaszcza jeśli od dawna nie używało się mowy.

Dziecko zmarszczyło brwi i pociągnęło nosem. Wyglądała, jakby nagle zdała sobie sprawę z tego, co tak naprawdę widzi. Nie ruszyła się jednak z miejsca, ani nie odezwała. Chłodny wiatr potargał języki ognia i przemknął po wyciągniętych ku ognisku palcach uciekiniera. Ale dziewczynka nawet nie zadrżała.

Przyszło mu do głowy, że powinna już dawno spać w bezpiecznym łóżku, a na stoliku obok powinien stać kubek po ciepłym mleku. Doszedł do wniosku, że nic głupszego nie mógł w tej chwili wymyślić. W lesie nie było ani łóżka ani kubka z mlekiem. Nie było też ani trochę bezpiecznie. Zresztą dziecko stojące boso na śniegu w piżamie nie mogło być realne. To musiał być tylko wymysł jego skostniałego, wyczerpanego umysłu.

Jeszcze jakiś czas patrzyli na siebie w zupełnej ciszy i bezruchu. Słyszał tylko trzaskający ogień i wycie wiatru tańczącego między koronami łąsych modrzewi. Gdzieś w oddali zawył wilk i zabrzmiał naprawdę upiornie. Poza tym przenikliwa cisza aż kłuła w uszy niczym panujący wokół syberyjski mróz.

W końcu stwierdził, że należy się odezwać i już miał powiedzieć cokolwiek, kiedy dziewczynka nagle poderwała głowę i spojrzała w bok gdzieś ponad siebie.

- Dobrze, tato – odezwała się ciekim dziewczęcym głosem.

Przy następnym mrugnięciu powiekami już jej nie było. Jedynym, co widział w blasku ognia, była wydychana przez niego para.

Następnego wieczora czuł przygniatający klatkę piersiową niepokój. Zmierzch zapadał szybko, pokrywając ziemię czarnym płaszczem i nieprzeniknioną ciemnością, tak złowrogą w połączeniu ze śmiertelnie zimnym.

Nie udało mu się utrzymać ognia i teraz trzymał się, aby znowu go rozpalić. Dygotał z zimna. I ze strachu. Jego wycieńczony umysł doszedł do wniosku, że wczorajszy gość był tylko wytworem wyobraźni, ale gdzieś z tyłu głowy pojawiało się przekonanie, że duchy istnieją.

Od niechcenia potarł hubkę po raz kolejny, a samotna iskra zajęła ogniem suche igliwie na zebranych w kupkę gałązkach. Odetchnął z ulgą. Będzie mógł trochę podsmażyć surowe mięso. Dziś znalazł martwą kuropatkę między oblodzonymi gałęziami jakiegoś krzewu. Nabił kawałek mięsa na patyk i wetknął w płomień. Wtedy zauważył niewielkie białe stopy po drugiej stronie ogniska. Zupełnie jak wczoraj. I zupełnie jak wtedy poczuł przerażenie.

Podniósł wzrok. Mimo strachu czuł niezdrową ciekawość przypominającą masochistyczne pragnienie. Napotkał jej wzrok, ale ona ani drgnęła. Wpatrywała się w niego z zainteresowaniem. Chwilę trwali tak w bezruchu, świat wokół też zdawał się wstrzymać bieg. On, zmarznięty uciekinier wśród gęstych, bezlitosnych śniegów. I ona, niematerialna zjawka w nocnej koszuli. Jeszcze wczoraj mógł wmówić sobie, że to tylko przywidzenie. Dziś nie było na to szans. Tym bardziej że blade dziewczątka wyciągnęło do niego rękę.

Ze zdziwieniem zauważył, że trzymała w garści pudełko. Nie mógł go pomylić z żadnym innym. Tekturowe pudełeczko błyszczało lekko po bokach od częstego pocierania.

– Pomyślałam, że będą panu potrzebne – odezwała się, a jej głos brzmiał jak podmuch lodowatego wiatru świszczącego nocą między najwyższymi gałęziami drzew.

Zawahał się, ale w końcu sięgnął po podarek. Uważał przy tym jednak, by nie dotknąć palców dziewczynki. Wyobrażał je sobie jako trupio zimne.

Pudełko było szorstkie, ale nie przemokło od padającego śniegu. Mógł zacisnąć na nim palce, a ono i tak nie rozpuściło się nagle w powietrzu, mimo iż tego właśnie się spodziewał. Otworzył, aby sprawdzić zawartość i ze zdumieniem stwierdził, że wewnątrz znajdują się jak najbardziej rzeczywiste zapalniczki.

– Mam na imię Kira – szelest głosu dziewczynki znowu prześlizgnął się między zamrzniętymi liśćmi, zanim (zupełnie tak samo jak wczoraj) zniknęła, jak gdyby nigdy jej tam nie było.

Kira siedziała na łóżku, opatulona puchową kołdrą. Przyciskała do siebie pluszowego misia i wpatrywała się w trzaskający w kominku ogień. Ojciec zawsze przestrzegał ją, żeby nie podchodziła zbyt blisko, by się nie oparzyć lub nie spowodować pożaru. To mogłoby się tragicznie skończyć.

Słyszała poruszenie w całym domu i wiedziała, że lada moment zostanie tylko z opiekunką. Rodzice, jak co tydzień w sobotę, wychodzili, by złożyć wizyty liczным znajomym. Wiedziała, że ojciec mocował się wcześniej z krawatem, bo słyszała jego groźne pomruki dobiegające z pokoju obok. Do przekleństw szybko dołączył perlisty śmiech matki i już było wiadomo, że jej delikatne palce rozprawiły się z problemem, a krawat został należycie zawiązany.

W korytarzu tykał zegar. Dochodziła dwudziesta. Za chwilę drzwi się otworzą i stanie w nich ojciec, gotowy życzyć jej kolorowych snów lub opowiedzieć jakąś krótką historię na dobranoc. Nie pomyliła się. Za kwadrans ósma drzwi uchyliły się ze skrzypnięciem i stanął w nich pan domu. Ubrany w jeden z lepszych garniturów prezentował się niezwykle elegancko i mała Kira uśmiechnęła się na jego widok.

– Obiecuj, że będziesz grzeczna i nie sprawisz Marii żadnych kłopotów – zaczął surowym tonem, choć w jego spojrzeniu tańczyły radosne ogniki i córka wiedziała, że trudno mu utrzymać powagę. Lada chwila mógł wybuchnąć serdecznym śmiechem. – Obiecuj też, że nie zbliżysz się do ognia, nawet jeśli zaczniesz przygasać.

Pokiwała skwapliwie głową. Przrzekała to w końcu co tydzień i doskonale wiedziała, czego nie robić. Za moment i tak ułoży głowę na poduszce i zapadnie w spokojny, dziecięcy sen, a rano znowu zobaczy się z rodzicami przy śniadaniu.

Ojciec zerknął na elegancki zegarek na ręce i mruknął z zadowoleniem.

– Mamy jeszcze trochę czasu. Chcesz posłuchać jakiejś historii?

Kiwnęła głową. Oczywiście, że chciała. Każde dziecko wiedziało, że sen będzie lepszy po dobrej bajce na dobranoc.

Ojciec podszedł do okna i rozsunął firankę. Podążyła za jego spojrzeniem, ale jedyne co widziała to czarne niebo, pogrążone w nocy i odbicie taty w szybie.

– Wiesz dlaczego nie powinnaś wchodzić do lasu za domem? – zapytał. Nie wiedziała, czy to już opowieść, czy kolejna przestroga. Ale posłusznie odpowiedziała:

- Bo mogę się zgubić.

Jej dziecinny głos wypełnił pokój i zlał się w idealną harmonię z trzaskającym ogniem, tworząc atmosferę bezpieczeństwa, domu i miłości. Ojciec uśmiechnął się.

– Owszem, to prawda. Nie chciałabyś chyba błąkać się między gęstymi drzewami i nie mieć pojęcia, jak wrócić do domu? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, kontynuował: - Ale to nie jedyny powód. Ten las jest nawiedzony.

Urwał, zerkając przez ramię na reakcję córki. Był ciekaw, jakie wrażenie zrobiły na niej jego słowa. Kira natomiast otworzyła szeroko oczy.

– Zawędrowało tu kilku uciekinierów z łagrów – dodał po chwili, a zafascynowanej Kirze nawet nie przyszło do głowy, aby zapytać co to właściwie te „łagry”. – Uciekali od okrutnej niesprawiedliwości. Od nieludzkiego traktowania. I może by im się udało, gdyby nie mroźna zima. Zginęli, a ich ciała przysypał śnieg. Teraz ich dusze nie mogą odnaleźć spokoju i błąkają się po lesie. Kiedy tam pójdziemy, pokażę ci ślady ich stóp.

– Dobry Boże, Siergieju – usłyszał głos żony dobiegający od drzwi. – Nie powinieneś jej opowiadać takich rzeczy. I to chwilę przed snem. Oczekujesz, że Maria będzie siedzieć przy niej całą noc i pilnować, by nie śniła koszmarów?

Ojciec roześmiał się wesoło i opuścił firankę.

– Ależ to wszystko zwykłe bajdy. Historie, którymi lubił straszyć mnie dziadek, kiedy byłem nieposłusznym dzieckiem. Pamiętaj, Kiro – podszedł do niej i pocałował w czoło. Jego wąsy połaskotały jej delikatną skórę. – Wszystko to nieprawda.

Oderwał się od niej i zerknął na jej twarzączkę, chcąc upewnić się, że nie przejęła się zbyt opowiedzianą historyjką. Jej mina wyrażała zupełny spokój, więc uznał, że wszystko było w porządku.

– Dobrej nocy, Kiro – dodał jeszcze, wychodząc i przymykając lekko drzwi.

Kiedy odgłosy kroków na schodach ucichły, dziewczynka złożyła głowę na poduszce. Pragnęła powiedzieć coś ważnego swojemu nowemu znajomemu, który od dwóch dni nachodził ją we śnie. Tym razem nie ścisnęła w rączce pudełka zapalek.

Zobaczyła go tak samo jak wczoraj i dwie noce wcześniej. Siedział skulony obok kupki liści. Właśnie pocierał zapalkę. Siarka rozjarzyła się z charakterystycznym trzaskiem. Mężczyzna przyłożył jej główkę do zaimprovizowanego ogniska. Suche liście zajęły się ogniem, co jego twarz przyjęła z ulgą i zadowoleniem.

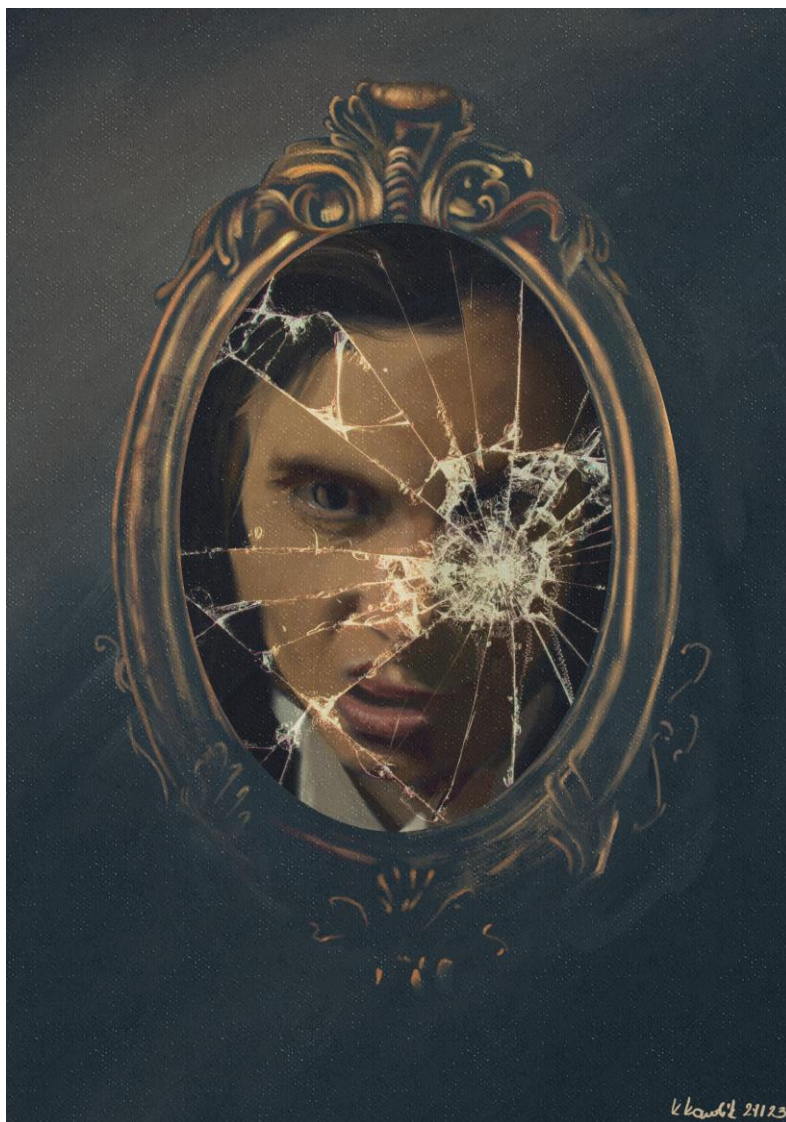
Wtedy ją dostrzegł. Prześlizgnął się wzrokiem po jej bosych stopach, które nie czuły zimna. Ubrana była w tę samą nocną koszulkę, jedną ręką przyciskała do siebie misia.

Uśmiechnął się szeroko. Nie czuł już strachu. Ta mała osóbką pomogła mu, kiedy rozpaczliwie tego potrzebował. Wkrótce będzie mógł iść dalej. A z każdym krokiem będzie coraz bliżej wolności.

– Uratowałaś mnie, Kiro – szepnął. Jego głos drżał i był zachrypnięty. Usta miał spierzchnięte od zimna. – Dziękuję ci. Dziękuję, że mnie ocaliłaś.

Oblicze dziewczynki spochmurniało. Przycisnęła misia mocniej do siebie. Wtedy ujrzał blask płomieni, odbijający się w jej oczach i przeszył go dziwny dreszcz.

– Ty nie żyjesz – powiedziała, marszcząc brwi. Echo jej słów zakłóciło spokój uśpionego, zimowego lasu.



OPowieść w Karczmie

Jakub Zenker

Skuszony słuchaniem tych długich, acz nudnych i do bólu powtarzalnych historii skłaniam się ku opowiedzeniu w końcu mojej dramatycznej opowieści. Nazywam się Aiden Mortimer i zanim przybyłem do tej zacnej, małej karczmy na uboczu, uciekłem z rodzinnego miasta, w którym wydarzyło się prawdziwe piekło. Urodziłem się w mało wyróżniającej się, acz wielce zamożnej arystokratycznej rodzinie. Żyłem i gnuśniałem w dobrobycie przez bite dwadzieścia lat, zanim w moim życiu wydarzyło się coś niezwykłego.

Zdziesiątkowane przez epidemię nieznaną choroby miasto nawiedziła inna, o wiele gorsza plaga – plaga strachu. Mój ojciec piastujący wtedy funkcję gubernatora miasta pożałował mi się urwaniem głowy z powodu wielu zaginięć zgłaszanych przez ludzi w mieście i na okolicznej farmie. Straż miejska miała pełne ręce roboty i bez tych niepokojących doniesień. Gdyby zginęło kilkoro chłopów, to pewnie nikt by się tym nie przejął, ale zaginięcie żony drugiego najbogatszego człowieka w mieście – Lorda Avernaty, zmusiło mojego ojca do zwiększenia wydatków na służby porządkowe i wyznaczenia nagrody za rozwikłanie zagadki zaginięć. Bardzo zaciekałem się sprawą i będąc już dorosłym, niemal samodzielnie, choć nadal zależnym od pieniędzy rodowych człowiekiem, zacząłem własne śledztwo mające na celu odnalezienie zaginionych. Rozpocząłem poszukiwania od przepytania kilkorga rodzin zaginionych, co było znacznie trudniejsze, niż mogłem się tego spodziewać. To było moje pierwsze spotkanie z pospólstwem i nie wiedziałem, że będzie mi się z nimi tak trudno porozumieć.

Minęło trochę czasu, a ja nabrałem dystansu do swoich wcześniejszych, nadmiernych manier i stałem się bardziej naturalny, używałem mniej skomplikowanych słów i powstrzymywałem się od dziwnych, dla ludzi z niższych sfer, wyrażeń. Przyniosło to oczekiwane efekty i po kilku rozmowach byłem pewien, że znalazłem nic powiązania pomiędzy zaginięciami. Wyglądało na to, że zaginięcia miały miejsce w nocy, prawdopodobnie podczas snu, gdyż zasypiający ludzie budzili się w niepełnym składzie. Doszedłem do wniosku, że nawet najcichszy złodziej nie dałby rady wkraść się do izby pełnej śpiących ludzi i po prostu wynieść stamtąd żywego człowieka bez obudzenia go i narobienia hałasu. To wszystko sprawiło, że doszedłem do wniosku, iż porwania musiały się odbyć podczas nocnych przechadzek. To jednak nie tłumaczyło wszystkiego, przykładowo – jakim cudem zdołano porwać Lady Avernaty z jej strzeżonego całą noc domu? W czasie pomiędzy przesłuchaniami poprosiłem naszego starego znajomego kartografa, Pana Horacego Mierdevila o sporządzenie dla mnie mapy miasta, na której to chciałem zaznaczać miejsca porwań.

Gdy po kilku dniach wybrałem się do Horacego po odbiór mapy, dowiedziałem się od jego małżonki, że zniknął poprzedniej nocy. Wszedłem do jego gabinetu, z którego zabrałem podpisaną moim imieniem, skórzaną tubę z mapą i zacząłem rozglądać się po pokoju. Od razu zauważyłem coś niezwykłego, mianowicie świeca stojąca na biurku nadal się paliła. Poznałem, że była to świeca produkowana przez zakład należący do naszej rodziny i sądząc po jej długości, wywnioskowałem, że została zapalona około północy. Domyśliłem się, że prawdopodobnie Pan Horacy nie mógł spać i chciał popracować trochę w nocy, kiedy to

zapewne został zaatakowany i porwany. W pokoju było czuć dziwny zapach, którego początkowo nie mogłem rozpoznać. Poza tym nie było żadnych śladów, a ja obiecałem Pani Mierdevil, że odnajdę jej męża.

Tego dnia wróciłem do domu dość późno, ponieważ postanowiłem przepytac jeszcze kilkoro ludzi. Położyłem mapę na nocnej szafce i poszedłem spać.

Obudziłem się w nocy i nie mogąc ponownie zasnąć przez myśli nawiedzające mój umysł, analizowałem zebrane zeznania i ślady. Wstałem, wziąłem mapę, rozwinąłem ją na dużym mahoniowym stole i zabrałem się do zaznaczania miejsc, w których zgłoszono porwania. Blask świecy rzucał wysokie cienie, które tańczyły na ścianach synchronicznie z płomieniem poruszonym przez lekkie podmuchy dochodzące z uchylonego okna. Gdy tak wbijałem szpile w mapę, cichy powiew zefiru zaalarmował mój nos, który wyczuł dziwny, znajomy zapach. Poczulem, jak stres zwiększa mi tętno, obróciłem się w stronę okna. Moje oko zatrzymało się jednak na fotelu stojącym w kącie przed wysokim lustrem, które matka sprezentowała mi na urodziny. Szafa stojąca przy biurku, na którym znajdowała się zapalona świeca, rzucała cień na ów fotel, jednak światło księżyca będącego w pełni oświetlało nogi siedzącego w nim człowieka. Nagle mocno rozboleła mnie głowa. Usłyszałem głos, był cichy i dziwnie znajomy, ale nie potrafiłem powiedzieć, gdzie go już słyszałem. Powiedział:

– Witaj Aidenie. Nie mogliśmy się doczekać, żeby się znowu z tobą spotkać.

– To ty jesteś odpowiedzialny za te porwania? – zapytałem nerwowo, nie myśląc jak oczywista była odpowiedź na to pytanie. – Wiesz, że jeśli zacznę krzyczeć, to straż przybiegnie tu w kilka sekund?

– Spokojnie, nie przyszliśmy, żeby zrobić ci krzywdę, chcieliśmy cię tylko zobaczyć i życzyć ci powodzenia w rozwiązywaniu tej tajemnicy. Nie moglibyśmy zrobić ci nic złego – odparł nieznajomy.

– Dlaczego miałbyś chcieć, żebym cię znalazł i złapał? – spytałem.

– Ponieważ wiemy, że gdy nas odkryjesz, nie wydasz nas.

Przez tę krótką rozmowę udało mi się powoli dojść do drzwi w moim pokoju, zawahałem się jednak i nie wybiegłem.

– Czy porwani żyją? Co z nimi robisz? – zapytałem.

– Kiedy ich znaleźliśmy, tak naprawdę nie żyli, ale teraz w pełni odczuwają swoją egzystencję i dziękują nam za otwarcie im oczu – odparł nieznajomy. – Jednakże ci, którzy byli zmęczeni odczuwaniem prawdziwego życia, błagali nas o to, żeby ich uwolnić, wtedy robiliśmy to, o co prosili – dodał.

Nagle usłyszałem kroki na korytarzu, potem ciche pukanie do moich drzwi. Odwróciłem się szybko, a drzwi otworzyły się, stanął w nich służący, stary Fergus. Odskokczyłem i stanąłem wyprostowany na środku pokoju.

– Nie chciałem wielmożnego Pana wystraszyć, wydawało mi się, że słyszę jakieś odgłosy dochodzące z Pana pokoju, dlatego postanowiłem to sprawdzić – powiedział starzec, głaszcząc siwą zmierzwioną brodę.

Obróciłem się i spojrzałem w miejsce, gdzie siedział wcześniej nieznajomy, jak się spodziewałem, fotel był pusty a okno otwarte. Odwróciłem się z powrotem do Fergusa i powiedziałem:

– Tak, wybacz, to ja ćwiczyłem przemowy, wiesz jak to ojciec chce, żebyśmy tak jak on, został kiedyś gubernatorem miasta.

– Rozumiem wielmożny Panie, dobrej nocy życzę w takim razie. – Ukłonił się nisko i zamknął za sobą drzwi.

Gdy tylko wyszedł, podszedłem do stołu i spojrzałem na mapę, na której zostało do zaznaczenia ostatnie miejsce. Spojrzałem wtedy na nią z góry w poszukiwaniu jakiegoś schematu myślowego. Na początku nic to nie dało, ale potem oddaliłem się i przymrużyłem oczy. Zobaczyłem, że szpile, które uprzednio maczałem w czerwonym wosku, układały się w trzy koła: zewnętrzne, poza murami miasta, gdzie znajdowały się chaty wieśniaków, środkowe w dzielnicy kupieckiej i wewnętrzne w samym centrum, gdzie znajdowała się dzielnica szlachecka, a na samym środku planu miasta mój dom. Koło w dzielnicy szlacheckiej nie było dokończony, dlatego domyśliłem się, że kolejne porwanie nastąpi tam. Coś tu jednak nie trzymało się kupy, pamiętałem, że porwania najpierw pojawiły się poza miastem, następnie w dzielnicy kupieckiej. Ostatnio porwano Horacego, który mimo że nadal para się pracą tak bardzo poważaną w jego rodzinie, jest szlachcicem, a zaraz przed nim Lady Avernaty. Porywacz działał z zewnątrz do środka, jednak ominął jeden dom w dzielnicy szlacheckiej, który zamknąłby koło na mapie miasta i od razu przyszedł do mnie, na sam środek.

W dodatku, ciągle nie dawał mi spokoju dziwny zapach, który unosił się teraz w moim pokoju, a który na pewno skądś znałem. Wpadłem na pomysł żeby przejrzeć perfumy, które trzymałem w skrzyni. Moja intuicja okazała się nadzwyczaj pomocna, gdyż w starej, małej niebieskiej buteleczce znajdował się płyn o takim samym zapachu jak ów nieznajomy człowiek, który nawiedził mnie dzisiejszej nocy. Przypomniałem sobie, że dostałem go od Hrabiego Krugerta, szanowanego obywatela miasta i szlachcica mieszkającego niedaleko. Nagle wszystko zaczęło się układać w jedną całość, to jego dom był ostatnim szlacheckim

domem, który powinien być zaznaczony na mapie. Nikt nie zgłaszał zaginięcia członka rodziny Krugert, porywacz nie porwałby przecież członka własnej rodziny.

Nazajutrz rano poszedłem do ojca i wszystko mu opowiedziałem, łącznie z tym, że ów porywacz, którym jak domyślałem się, był Hrabia Algernon Krugert odwiedził mój pokój wczorajszej nocy. Ojciec nakazał kapitanowi straży miejskiej udać się ze mną i kilkoma strażnikami do jego posiadłości. Kilkanaście kroków od wyjścia z ratusza znajdował się dom Hrabiego. Zapukaliśmy do drzwi. Otworzyła nam Lady Krugert, której zmuszony byłem wyjawić prawdę, a której ona nie mogła przyjąć do wiadomości i wciąż zapewniała nas, że to pomyłka. Starając się być tak delikatnym jak tylko się da, przekonałem ją, że nie może tu być mowy o pomyłce i zażądałem wpuszczenia nas do piwnicy, w której jak się domyślałem, znajdę porwanych.

Zeszliśmy w piątkę do piwnicy, zostawiając trzech strażników na górze z Lady Krugert i jej dwoma synami. Oczywiście samego Hrabiego nie było wtedy w domu, więc nie mogliśmy go aresztować. Na początku nie odkryliśmy nic niezwykłego. Zwykła bogata piwnica pełna win, wszelakiego jedzenia i beczek zapewne z piwem. Pachniała jednak zupełnie tak samo jak perfumy Krugert. Stało tam również kilka regałów, na których wały się stare księgi i manuskrypty stanowiące bogatą kolekcję, choć zdecydowanie bardzo zaniedbaną. Jeden z tych regałów przykuł moją uwagę, znajdowało się na nim o wiele mniej kurzu i pajęczyn aniżeli na pozostałych, spostrzegłem też dziwne ślady wyryte na drewnianej posadzce piwnicy.

Postanowiłem poprzestawiać niektóre książki w nadziei na odnalezienie tajnego przejścia. Moja intuicja po raz kolejny udowodniła swoją przydatność, gdyż jedna z książek tkwiła w tylnej ścianie. Pociągnąłem ją mocno i usłyszałem dźwięk jakiegoś mechanizmu. Po chwili regał lekko odbił się od ściany, a ja sięgnąwszy za jedną z krawędzi, odkryłem coś czego nie jestem w stanie tutaj opisać. Nawet najlepsi poeci nie byliby w stanie opisać widoku, który rozciągał się przede mną. Jeden z oficerów straży miejskiej, spojrzawszy przez małe przejście za regałem, krzyknął przeraźliwie po czym padł na ziemię. Pozostali strażnicy podbiegli do niego i uklękli, a następnie spojrzeli w miejsce skąd dochodziła ów straszliwa aura szaleństwa. Jeden z nich wybiegł z piwnicy, krzycząc głośno, drugi zaś, weteran wielu wojen, który zapewne widział w swoim życiu niejedno pole po bitwie, doświadczony życiem kapitan straży, nie oszalał, ale nie zniósł ów widoku dłużej niż chwilę. Odciągnął leżącego oficera na bok i próbował go ocucić. Ja zaś – cóż, stałem wbity w podłogę, nie mogąc wydusić ani krzyku, ani złapać dobrze oddechu.

Powykręcane szczątki ludzkie ułożone w groteskowy sposób na podłodze, przybite do ścian i sufitu członki układające się w niewyraźne bluźniercze symbole wyścielały pomieszczenie zbudowane ze zmurszałej, pokrytej pleśnią i grzybem zgniło-zielonkawej cegły. W pokoju stał stół rzeźnicki, na którym znaleźć można było kilka zapalonych świec, które dawały jedyne światło poza kilkoma promykami słońca przebijającymi się od naszej strony, na stole leżało małe lustro i jakieś narzędzia, o których przeznaczeniu nie miałem w tamtym momencie siły myśleć. Odcienie czerwieni pokrywające ściany układały się w niesamowite pociągnięcia tworzące obraz przypominający malunek morskich fal. Ciało było tak zmasakrowane, że nie dało się ich odróżnić od siebie. Właściwie do teraz nie mam pojęcia dlaczego ten koszmarny widok nie zrobił na mnie takiego wrażenia jak na innych. W tym przerażającym momencie usłyszałem jakiś dźwięk dobiegający z wnętrza sali. Wszedłem, stąpając po kościach, resztkach wnętrzości i mięśni, doszedłem do miejsca, gdzie w ścianach zamontowane były łańcuchy. Pokój był długi i tak wysoki, że kilka stóp ponad sufitem była już posadzka placu przed ratuszem. Szedłem a po bokach rozpościerała się góra ciał a pomiędzy nimi przykuci do ściany żywi ludzie brodzący we krwi i gnijących kończynach. Zobaczywszy mnie szybko uklękli na kolana i zaczęli szybko mówić:

– Proszę, wybierz mnie! Wybierz mnie, Panie proszę! – W pewnym momencie zaczęli się przekrzykiwać.

– Spokojnie, już jesteście bezpieczni, zaraz ktoś tu po was przyjdzie – odpowiedziałem, nie zwracając uwagi na to, że proszą mnie o wybranie. W tamtym momencie byłem przekonany, że ich zmęczone ciemnością oczy nie odróżniają już twarzy i postury.

Minęło kilka tygodni. Po Alrgernonie Krugert nie było ani śladu, ani w domu, ani nigdzie w mieście. Prawdopodobnie przewidział, że odkryliśmy jego proceder i uciekł z miasta tak szybko jak tylko mógł. Sprawę zamknięto, a mnie nagrodził osobiście i oficjalnie mój ojciec przed mieszkańcami miasta, podkreślając w przemówieniu moją rolę w śledztwie.

Prawdopodobnie szybko zapomniałbym o sprawie, gdyby nie sny nawiedzające mnie od czasu odkrycia lochów śmierci pod domem mojego sąsiada. Pewnej nocy obudziłem się zlany zimnym potem po przerażającej wizji sennej, w której z perspektywy rzeźnika widziałem owe przerażające lochy pełne ciał. Zszedłem do piwnicy, musiałem napić się czegoś mocnego żeby choć na chwilę zapomnieć, o tym co się stało. Szedłem niemal na ślepo gdyż świeca nie dawała mi praktycznie światła. Nagle potknąłem się o coś. Po omacku złapałem za stary dywan, który zawinął się, kiedy ślamazarnie po nim przeszedłem. Chcąc go

poprawić, poczułem coś dziwnego pod spodem. W pewnym miejscu wystawała stalowa niska klamra. Domyśliłem się, że to drzwi zapadowe prowadzące do dolnej piwnicy. Domyśliłem się, że znajdę w niej o wiele lepsze wino trzymane na specjalną okazję przez ojca. Odrzuciłem dywan i podniosłem klapę. Ze środka bił zapach stęchlizny i grzyba, a niesamowita ciemność była wręcz namacalna. Zszedłem po zardzewiałych stopniach wbitych w wewnętrzną ścianę i ku mojemu zdziwieniu nie doszedłem do żadnej ukrytej piwnicy, lecz do wymurowanego tunelu biegnącego prawdopodobnie pod ulicą. Klaustrofobiczna natura tego miejsca i złe wspomnienia nie dające mi spokoju spotęgowały strach, jednak ciekawość, która cechowała mnie od małości zwyciężyła.

Ruszyłem powolnym, niepewnym krokiem w głąb ciemności i odkryłem, że nie jest to piwniczka, lecz korytarz. Nie minęło wiele czasu aż doszedłem do rozwidlenia biegnącego w kilka stron. Postanowiłem iść prosto, by potem nie zgubić się w drodze powrotnej. Po kilkunastu ostrożnych krokach dotarłem do drugiej metalowej drabiny prowadzącej na górę. Na ścianie obok zobaczyłem wnękę, w której stała pochodnia. Zapaliłem ją i korytarz od razu zrobił się jaśniejszy. Wtedy coś rzuciło mi się w oczy. Mianowicie sztylet leżący pod ostatnim stopniem drabiny. Piękna stal i jeszcze piękniejsza rękojeść wydały mi się znajome, tak bardzo znajome jak zapach perfum, które odnalazłem w skrzyni. Postanowiłem wejść do góry. Powoli wdrapywałem się po zimnych stalowych stopniach. Dotarłem do kłapy. Podniosłem ją i wyszedłem szybko na powierzchnię. Zrobiło mi się gorąco, upuściłem pochodnię na czerwoną posadzkę pomieszczenia, w którym się znalazłem. Pomieszczenia, które odkryłem pod domem Krugertów, a w którym teraz stałem wbity w ziemię jak wtedy gdy pierwszy raz je zobaczyłem. Pochodnia leżąca na ziemi rzucała na ścianę mój cień. W pewnym momencie zdało mi się, że przy brudnym rzeźnickim stole ktoś stoi. Po chwili byłem już tego pewien. Wtedy usłyszałem:

– Czekaliśmy na Ciebie – powiedział znajomy głos.

Wtedy nie myślałem o niczym innym tylko o tym, że chce się stąd wydostać. Chwyciłem za sztylet, który znalazłem i krzyknąłem:

– Nie zbliżaj się!

– Spokojnie, to ty tu rządzisz, nie podejść. jeśli ty tego nie zrobisz – odparł nieznajomy, którego czarna ukryta w cieniu sylwetka opierała się o stół.

– Nie dam się znowu zagadać, zginiesz tu i teraz za to co zrobiłeś – powiedziawszy to ruszyłem do przodu z nożem gotowym do zadania śmiertelnego ciosu. Ruszyłem a porywacz ruszył w moją stronę, wyciągnąłem nóż do przodu i zamknąłem oczy. Poczułem uderzenie i usłyszałem trzask tłuczonego szkła. Otworzyłem oczy, lusterko stojące na biurku było

rozbite a po napastniku ani śladu. Ruszyłem szybko do wjazdu od tunelu, przez który szybko przebiegłem do domu. Pobiegłem na górę do swojego pokoju, do którego drzwi zamknąłem na klucz. Gdy tylko zamek trzasnął usłyszałem ten sam znajomy głos:

– Przed nami nie ma ucieczki.

Odwróciłem się w stronę, z której dochodził głos. Ta sama postać stała przed fotelem, na którym wcześniej siedziała. Nie myśląc o niczym, rzuciłem się do ataku, lecz znowu chybiłem, a nóż wbił się w zwierciadło, które stało za fotelem, rozbijając je na kilka dużych kawałków i raniąc mi rękę. Upadłem na ziemię. Siedziałem tak, krwawiąc wokół odłamków lustra, z których dochodził ten sam znajomy głos powtarzający:

– Przed nami nie ma ucieczki.

Podniosłem jeden z odłamków, zobaczyłem w nim ów dziwną postać, która nie dawała mi spokoju. W końcu mogłem się mu przyjrzeć. Jego twarz... ale to niemożliwe, znowu ją widzę, tutaj w tej karczynie, jak opowiadam. To oni, stoją tam w lustrze przy drzwiach do karczmy. Mają ten sam splamiony krwią niewinnych nóż. Tą samą znajomą twarz. Moją twarz...

PRZYJACIÓŁKA ZNAD

JEZIORA

Szymon T. Cwen

Pewnego wieczoru wziąłem na kolana Piękno. – I przekonałem się, że jest gorzkie.

Arthur Rimbaud, *Sezon w piekle*

Pracowałem u sąsiadów przy koniach. Byle chłoptysia, prawie gołowąsa wzięli i dla mnie dobrze, a nuż kiedyś sam będę miał konie? Robota to była dla mnie przyjemna, bo zawsze uwielbiałem obcować ze zwierzętami i ubolewałem, że u mnie ich nie ma na ubogim gospodarstwie. Jak zrobiłem, co do mnie należało, to miałem już wolne.

Nie mając nic do roboty, do domu nie chcąc wcześniej wracać, chodziłem to tu, to tam, a nader często chodziłem nad jezioro Blizan nieopodal wioski Nowiny. Czasem po prostu moczyłem tam nogi w zimnej wodzie, ale często odwiedzałem Tomirę, moją koleżankę, która mieszkała nad jeziorem wraz ze swoją babką Heleną, która swojej wnuczki uczyła sztuki znachorskiej. Wokół domu zawsze unosił się przyjemny, intensywny zapach ziół, które suszyły się wewnątrz i, jeśli pozwalała pogoda, na zewnątrz. Zawsze czułem się tam jak w domu, pani Helena nie żałowała mi jedzenia, pamiętam wspaniały smak smażonych przez nią ryb: karpi, sandaczy i jazgarzy z jeziora. Często też sam łowiłem te rybeńki, ale żadna to robota, tam wszystko zdawało się przyjemnością.

Co do znachorskich praktyk, Tomira z przyjemnością dzieliła się ze mną wiedzą. Chodziliśmy po lesie, zbieraliśmy składniki na różne wywary, a ona tłumaczyła mi cechy każdego listka, każdego kwiatu, każdej jagody, a ja uważnie słuchałem. Wiedza ta przydała mi się, gdy zachorował ojciec. Nie musieliśmy wołać nikogo, bo zebrałem, co trzeba, skomponowałem lek i ojciec w kilka dni wyglądał jak nowo narodzony.

Mojej koleżance znad jeziora zawsze towarzyszyła jakaś dziwna aura tajemniczości, choć pomimo tego i tak ją lubiłem i próbowałem nie zwracać na to uwagi. Mało z kim się zadawała i chyba byłem jej jedynym przyjacielem, więc nie chciałem jej sprawiać przykrości. A może czasem dziwnie się zachowywała, bo darzyła mnie większym uczuciem? Nie wiedziałem, jak bym jej oznajmił, że jej nie kocham, lecz mam ją za wspaniąłą przyjaciółkę. A może nie powinienem tego mówić i zobaczyć, co los przyniesie? Czasem napadały mnie takie myśli, najczęściej podczas bezsennych nocy.

Pewnego wiosennego dnia pracę skończyłem nad wyraz szybko i miałem czas dla siebie. Poszedłem nad jezioro, chcąc skorzystać z ładnej pogody. Siedziałem na brzegu z nogami w wodzie, gdy od tyłu za ramiona złapały mnie drobne dłonie.

– Kochan, a cóż to tak wczesnie dzisiaj? – Głos Tomiry wydawał się nad wyraz radosny.

– Też się zdziwiłem, że tak szybko dzisiaj wszystko załatwiłem – odparłem.

Ona, nie zdjawszy rąk z moich ramion, usiadła na ziemi, przybliżając się do mnie. Na swoich plecach poczułem jej piersi i już w mych myślach miałem obraz, jak one mogą wyglądać obdarte z odzienia. Obraz, którego nie mogłem wymazać. Nigdy nie zachowywała się w ten sposób i nie wiedziałem, co o tym myśleć.

– Co robisz? – spytałem spokojnie.

– Wiem, że wzbraniałeś się z powiedzeniem tego. – Jej dłoń niczym macka zaczęła wędrować po moim tułowi. – Ja też czekałam długo – wyszeptała mi do ucha, po czym lekko przekręciła głowę w moją stronę i pocałowała w usta, a ręka jej powędrowała niżej.

Opadłem na ziemię, a moje ubranie jakby wyparowało. Nie mogłem nic powiedzieć, tylko patrzyłem na nią, na jej kruczoczarne włosy, białe jak kość słońcowa ciało i twarz w błogostanie.

Obudziłem się, leżąc samotnie nad jeziorem. Pamiętałem wszystko i zastanawiałem się, czy to nie był sen. Niczym Adam po wygnaniu z raju natychmiast odczułem wstyd i nałożyłem na swoje ogołoczone ciało łachmany, które leżały obok. Moje wątpliwości co do prawdziwości wspomnienia zniknęły, gdy zobaczyłem nagą Tomirę idącą w moją stronę.

– Zasnąłeś – powiedziała, gdy była już blisko.

Usiadła przy mnie i oparła głowę na mym ramieniu.

– Kocham cię. – Dwa słowa jakby same wyszły z moich ust.

Czy rzeczywiście ją kochałem? Nie wiem. Na pewno podczas zbliżenia spojrzałem na moją przyjaciółkę z zupełnie innej strony. Zaczęła dla mnie odzwierciedlać uosobienie piękna i kobiecości. Pragnąłem jej – czy to można nazwać miłością?

Potem, jak gdyby nigdy nic, poszliśmy do jej domu, gdzie pani Helena przygotowała do jedzenia karpia. Czyżby ona niczego nie zauważyła?

Dnia następnego tam poszedłem i zdarzyło się to samo. Ilekroć poszedłem to Tomiry, znów zaczynałem się czuć odurzony i patrzyłem, co ona wyczynia z moim ciałem, a potem budziłem się samotnie. Nasz romans trwał w najlepsze i miałem mieszane uczucia. Może i dawało mi to rozkosz, lecz kamień na moim sercu stawał się coraz cięższy, bo nie uznawałem uczucia do niej za czyste. Pomimo to wracałem i oddawałem się jej.

W niej i w sobie zauważałem coraz większe zmiany. Tomira z każdym dniem zdawała się coraz bardziej kobieca. Jej ciało zyskiwało coraz konkretniejszych kształtów, ponadto jej ruchy stawały się subtelniejsze. Powodowało to, że jeszcze goręcej pragnąłem zbliżyć się do niej. Ja zaś zmieniałem się w żywego trupa. Pomijając już to, że z każdym dniem coraz bardziej czułem się jak z krzyża zdjęty, to moje ciało słabło, stawy już nie pozwalały na tak dużo, twarz moja wyglądała na coraz bardziej zmęczoną, a włosy siwiały. W domu wszyscy się martwili, rozmyślając, co mogło spowodować taki stan. Nic nie wzbudzało ich podejrzeń. Inni ludzie omijali mnie szerokim łukiem. Pewno myśleli, że jestem przeklęty.

– Kochan, co z tobą? – spytał mnie kolega, z którym zajmowałem się końmi. Siedzieliśmy tedy w stajni podczas krótkiej przerwy. – Wyglądasz jak upiór.

– Sam nie wiem – wymamrotałem, nie chcąc nic mówić o Tomirze, choć mój kompan pewnie nawet dobrze z widzenia jej nie znał. – Chyba jakiś chory jestem.

– To co tu jeszcze robisz? Powinieneś się w domu kurować.

– Nie sądzę, żeby moja choroba była uleczalna. Widzisz, jak wyglądam, ale na pewno nie wiesz, jak się czuję. To nie tylko choroba ciała...

– Po twoich słowach sądziłbym, że po prostu cierpisz z miłości, ale jak na ciebie patrzę, to chyba coś zupełnie innego. Ktoś na ciebie rzucił jakiś urok.

To było trafne określenie. Tomira rzuciła na mnie urok i dlatego wciąż do niej chodziłem...

Chociaż może było w tym jakieś ziarno prawdy? Przez resztę dnia zastanawiałem się, jak wytłumaczyć mój zdrowotny upadek. Wieczorem postanowiłem, że pójdę do niej natychmiast i zażądam, aby wyjaśniła mi, o co w tym wszystkim chodzi i pomogła w powrocie do zdrowia. Przecież widziała, jak wyglądam.

Wyszedłem z domu i ruszyłem w stronę jeziora. Nie wziąłem nawet byle świcy, wstydiłem się swojego wyglądu i wolałem iść przez Nowiny po ciemku, niżli zostać przez kogoś zauważonym. Przez zagajnik przeszedłem nie puknąwszy o żadne drzewo, aż dotarłem do jeziora Blizan.

W oddali już widziałem, że w domu panuje ciemnica. Zobaczyłem za to światełko przypominające błędny ognek i oddalające się ode mnie. Po jego ruchu poznałem, że to jakieś źródło światła trzymane przez kogoś. Podążyłem za tym światełkiem.

Szedłem przez las, który zdawał się obcy. Oddalałem się od miejsc, które znam.

Błędny ognek zastygł w miejscu. Emanujące od niego światło zarysowało w ciemności sylwetkę zgrabnej kobiety, którą od razu poznałem po długim czasie obcowania z nią, oraz kształty staruszki. Obok siebie wyglądały jak przeciwieństwa. Wchodziły one do jakiejś grotty albo budynku wydrążonego w kamieniu. W tej ciemności nie mogłem określić. Mniejsza o ognek, począłem śledzić Tomirę.

Na końcu tego tunelu na kamiennym ołtarzu siedziała postać otoczona ziołami wszelkiej maści. Pachniało tak samo jak w domu mej przyjaciółki. Gdy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że siedzącą postacią jest ludzki szkielet z czaszką jelenia o wspaniałym porożu. W oczodołach zamiast oczu widniały czerwone kamienie, od których emanowało intensywne, czerwone światło zalewające całe pomieszczenie. Te przerażające dziwadło przypominało mi Liczyrzepę z wielu legend opowiadanych mi przez ojca. Przed nim stała misa wypełniona dziwnym likworem. Dla Tomiry jednak ta poczwara miała inne imię i przekonałem się o tym chwilę potem.

Naga dziewczyna usiadła na podłodze naprzeciw osobliwego ołtarza i uniosła rękę, gdy Helena stała z boku i przyglądała się z widoczną satysfakcją.

– Rogaty Boże, za sprawą dzieła łona mego życie me spraw długim, a ciało wiecznie piękne i kuszące – wyrecytowała, po czym wzięła do rąk naczynie i wypła jego zawartość.

Czyżby ten płyn był wspomnianym przez nią *dziełem jej łona*? Na samą myśl zrobiło mi się niedobrze. Tomira zaczęła zmagać się z torsjami. Gdy ustały, ów czarownica poczuła się tak dobrze, że stanęła na równe nogi i rozbrzmiał z jej ust śmiech zachwyty. Ja za to poczułem się jeszcze gorzej, jakby wykonany przez nią rytuał odebrał mi część już nielicznych sił witalnych.

– Jestem z ciebie dumna. Udało ci się osiągnąć to, czego mi się nie udało – powiedziała babka Tomiry, podszedłszy do niej i klepnąwszy wnuczkę po ramieniu – Kochan już nie wytrzyma długo. Wkrótce będziesz musiała znaleźć sobie nową ofiarę.

Powoli wszystko zaczęło mi się układać w głowie. Ona współżyła ze mną tylko po to, żeby odebrać mi siły, a siebie zrobić długowieczną i piękną. A Helena? Też z niej pewno czarownica, która nauczyła najukochańszą Tomirę całej sztuki. Niegdyś taka myśl wydałaby mi się absurdalna, lecz w tamtym momencie w to uwierzyłem. Nie wytrzymałem i wybiegłem z grotty. Czy mnie usłyszały? Możliwe, ale dla mnie to już nie miało znaczenia. Nic dla mnie

nie miało znaczenia. Przestałem wierzyć w przyjaźń, miłość. Istniała tylko zwierzęca chuć, która doprowadza do zagłady.

Już nie te zdrowie. Zmęczyłem się bardzo szybko. Dysząc jak starzec, oparłem się o pień drzewa. Spojrzałem w górę na niebo rozpostarte nad koronami drzew.

– Dlaczego? – spytałem samego siebie. – Dlaczego?! – powtórzyłem głośniej, jakbym oczekiwał odpowiedzi, aż rozniosło się po lesie.

Padłem bez siły na ziemię, czując, że uchodzi ze mnie życie, że ona mi je wysysa. Gdy me oczy powoli się zamykały, zobaczyłem niewyraźnie jakąś postać, która szła w moją stronę. Szła, aby ostatecznie rozprawić się ze mną. Pewnie była to Tomira, albo Helena...

Czy zdawało mi się, że ta postać ma poroże?

Kampinos, 13 – 14 IX 2022 r.



ZAPISKI ADRIANA LINMANA

Dariusz Sprenglewski

Do tego, kto znalazł mój pamiętnik:

Ślubuję w pełnej potędze nieświadomości

Życ w pełni i czerpać garścią sny

Nie zostawić nic dla potomności

Za moje marzenia zapłacicie Wy!

Raport dot. sprawy Aka KMP-34/08DS/22 (fragment)

Sporządził: podinsp. Tomasz Korek

[...] W salonie natomiast, gdzie według wstępnej opinii biegłego rozpoczął się pożar, odnaleziono jeden przedmiot – dalej „Pamiętnik” – którego stan oceniono na częściowo zniszczony. Technicy obecnie badają, czy pamiętnik został pokryty ochronną substancją. Wstępna analiza daktyloskopijna wykazała, że udział osób trzecich w ewentualnym, nieautoryzowanym umieszczeniu pamiętnika na miejscu zdarzenia jest mało prawdopodobny. Jedyne ślady, jakie odnaleziono, należą do ofiary.

Pamiętnik ma nienaruszoną okładkę, twardą, ze skóry w kolorze brązowym. Mniej więcej połowa stron – szacunkowo pierwsze dwadzieścia – została spalona, pozostałe są nienaruszone. Nienaruszone strony są zapisane przez ofiarę. Stan ofiary na chwilę obecną nie pozwala na przeprowadzenie przesłuchania.

Żona ofiary nie jest w stanie udzielić żadnych informacji na temat sprawy. Podczas zdarzenia przebywała w szpitalu i była nieprzytomna, nie wie, czym kierował się poszkodowany Adrian L. [...]

Pamiętnik Adriana Linmana – 2022.06.15

Nie mam pojęcia, dlaczego to piszę, nigdy nie prowadziłem żadnego pamiętnika, ba, nawet nigdy pamiętnika nie miałem. Jakoś nigdy specjalnie nie kręciło mnie przelewanie myśli na papier. No, ale skoro już się zdecydowałem, to może się przedstawię. Adrian Linman, pracownik biurowy, czyli przynieś – podaj – pozamiataj w gównianym korpo. Dzień minął mi...

To bez sensu. Jeśli ktoś kiedyś to przeczyta, wolę go nie zanudzić na śmierć. Pominę więc swoją pracę – jest do dupy, tyle trzeba wiedzieć. Za coś żyć jednak muszę. Tak czy inaczej, dzisiaj wpadł mi w ręce ten pamiętnik, ściślej mówiąc w parku. Siedziałem sobie na ławce... nie, nie delektowałem się słońcem, ani zapachem róż – wczoraj nawpieprzałem się meksykańskiego żarcia (więcej, niż moje bebechy są w stanie wytrzymać) i dzisiaj to się zemściło. Szedłem do roboty na skrót, przez park i jak mi jelit nagle nie powykręcało...

Usiadłem, żeby złapać oddech. W dwie sekundy zrobiłem się mokry od potu, jakbym wyszedł spod prysznica. Odczekałem chwilę. Przeszło. Odetchnąłem, rozejrzałem się i zobaczyłem, że obok mnie leży pamiętnik. Miał jakąś kartkę przyklejoną do okładki – złożoną na pół. No to otworzyłem tę kartkę, a tam wiersz napisany przez jakąś babkę (a przynajmniej kobiecym pismem). Nie znam się na poezji, z całą pewnością mogę jednak ocenić, że za dobry to ten wiersz nie był. Miał tylko cztery wersy, czy wiersze, nigdy nie rozróżniałem, niby coś się tam rymowało, ale takie to wydało mi się, no jakby to gówniarz napisał. Dziecinne i bez tej jakiejś poetyckiej magii co to sprawia, że wiersz jest wybitny, nikt go nie kuma, ale wszyscy podziwiają. W każdym razie pamiętnik był ładny, skórzany, dookoła nikogo, to sobie go wziąłem.

Wieczorem naszła mnie dziwna myśl, żebym go otworzył i coś napisał. Zabrzmię dziwnie, ale czułem, jakby to myśli kogoś innego szeptały w mojej głowie. I to nie była jedna z tych myśli, jak ta, gdy siedzę w pracy i nagle słyszę w głowie swojego wewnętrznego narratora, który mówi „a może by tak wylać Damianowi wrzątek na plecy, że niby przypadkiem”. W życiu bym tego nie zrobił. No dobra, Damianowi może i bym zrobił, ale na ten przykład stoję z Kaśką w windzie i mój narrator się odzywa „niezłe cycki, złapię ją za tyłek”. Te myśli same się pojawiają, ale przecież ich nie realizuję. Ta o prowadzeniu pamiętnika też pojawiła się znikąd, tyle że inne myśli, nawet te pojebane, wiem, że są moje, z tą jedną jest inaczej.

No ale dobra, zdecydowałem się. Może to dobry pomysł. Podobno człowiek się wtedy oczyszcza, czy coś. Będzie mi lepiej, lżej. Nie to, że jest beznadziejnie. Wiadomo, mam gdzie mieszkać, mam co jeść, mam w co się ubrać, mam bieżącą wodę w kranie. No i mam Ewę. Teraz śpi. To moja żona, tak przy okazji.

Czy ja na pewno chcę to pisać?

Dobra, spróbujmy. Pół roku temu Ewa... no, poroniła, no. Była w ciąży i nagle w piątym miesiącu lekarz mówi, że serce płodu nie bije. Strzeliło we mnie jak Pudzian Najmanowi, a w Ewę to pewnie podwójnie. Gówniane porównanie z tym Pudzianem, zwłaszcza w takiej sytuacji, ale na lepsze mnie jakoś nie stać – łatwiej jest sprowadzić to do absurdu, wyśmiać. Kurwa, szczerze? Wolę z tego szydzić, niż ryczeć po nocach... jak Ona. Zwłaszcza, że takich małych fasolek się nie chowa, nie ma pogrzebu, tylko splukanie w kiblu. Smutne, ale nic nie poradzisz.

Minęło już pół roku, od trzech miesięcy staramy się ponownie zająć w ciążę. Znaczy, ja tam tylko robię za dawcę, to Ewa próbuje zająć. No i słabo nam idzie. Wiem, wiem, najlepiej to się rozluźnić alkoholem i zrobić to na spontanie, bez spiny, bez stresu, wtedy wszystko

wchodzi. Próbowaliśmy tak, dla pewności kilka nocy z rzędu. Dupa. Najwyraźniej za mało się rozluźniliśmy. A może za bardzo i plemniki mi się upiły. No co? To mój pamiętnik i mogę w nim pisać nawet o swoich pijanych żołnierzach (rany, moi żołnierze, jak to słabo brzmi).

Wziąłem dwa głębokie wdechy. Mój pamiętnik, więc wypadaloby, żebym chociaż przed sobą nie śmieszkował.

Chyba... chyba to dlatego, że...

Dołuje mnie to bardziej, niż myślałem. Ja naprawdę chciałbym mieć dziecko.

Pamiętnik Adriana Linmana – 2022.06.16

Nie sądziłem, że zacznę pisać tutaj codziennie. Muszę uważać, bo jeszcze wejdzie mi to w krew. Tak czy inaczej, przejrzałem pamiętnik i z tego, co się zdołałem zorientować, pisały w nim dwie osoby, mężczyzna i kobieta, ściślej mówiąc (pisząc? – nie wiem jakiej formy powinienem użyć) byli to jakiś Patryk i jakaś Alicja. Chyba się nie znali, przynajmniej nic w ich wpisach tego nie sugeruje. Znaczący, w tych, które pobieżnie przejrzałem.

To, co ich łączy, to wiersz. Oboje pisali, że kiedy znaleźli pamiętnik, był do niego dołączony kiczowaty wiersz, napisany pewnie przez jakiegoś zbuntowanego licealistę. Ja też ten wiersz znalazłem – chyba o tym pisałem. Są jednak pewne różnice. Patryk twierdzi, że wiersz był na luźnej kartce włożonej na początku pamiętnika, Alicja za to napisała, że kartka z wierszem była w przyklejonej do okładki kopercie. W moim przypadku była to złożona na pół kartka przyklejona do okładki.

Nie mam pojęcia, czemu poświęcam tyle czasu jakiemuś durnemu wierszowi. Ciekawsze jest to, co poprzedni właściciele pamiętnika pisali w nim o sobie.

Patryk zaczął od żali, bo rzuciła go dziewczyna i kazała mu się wynieść do końca tygodnia. Jeśli był takim zjebem, żeby żalić się pamiętniczekowi na takie coś, to miał szczęście, że ta jego eks nie wyrzuciła go z domu od razu. Swoją drogą powalona akcja – mieszkać z byłą.

U Alicji zresztą nie lepiej. Oboje mieli problemy mieszkaniowe. Ala wylądowała u koleżanki, sęk w tym, że nie sama. Z dziećmi – trójką, ściślej mówiąc. I kotem, takim, co to się nie polubił z bachorami wspomnianej koleżanki. Coś tam jeszcze pisała, że ma rozmowę o pracę i bardzo liczy, że dobrze jej pójdzie. Jutro poczytam jej kolejne wpisy, to się dowiem.

Dobranoc.

Pamiętnik Adriana Linmana – 2022.06.17

A jednak piszę codziennie. Choć dzisiaj nie wiem czemu. Za bardzo nie ma o czym. Wpisów Alicji jednak nie przeczytałem, zabrakło czasu. I sił. Nie wiem, co mnie tak zmogło, ale normalnie chwilami aż miałem omamy słuchowe. Przestraszyłem się. W końcu nie codziennie słyszy się szepty w głowie. Łyknąłem tabletki na dobry sen, położyłem się i odpłynąłem na trzy godziny. Z jakiegoś powodu Ewa postanowiła mnie nie budzić. W zasadzie zaraz znowu się kładę, tym razem na całą noc. Organizm chyba musi odreagować stres ostatnich tygodni (miesiący?). W końcu do mojego nieudolnego starania się o dziecko doszły próby awansu.

Chyba o tym nie pisałem. Korpo nie korpo, awans by się przydał. Więc zasuwam, nawet szepnąłem managerowi, że z Ewką staramy się o bobasa. Wiadomo, przygotowanie gruntu i te sprawy.

Tylko ten cholerny dupek Damian co chwilę podkłada mi świnię. Kiedyś o tym napiszę. Teraz padam na pysk.

Dobranoc.

Pamiętnik Adriana Linmana – 2022.07.15

Długo nic tu nie pisałem, ale ostatnie tygodnie były niesamowicie intensywne. Tyle się wydarzyło. Najpierw najważniejsze – Ewa. Ostatnio zachowywała się nieco... inaczej. Z początku zrzucałem to na stres, ale w końcu przyznała, że okres jej się spóźnia. Zrobiliśmy test. Tak! Pozytywny. Dzisiaj byliśmy u ginekologa i potwierdził, że Ewa jest w ciąży.

Normalnie skakałbym pod sufit albo i wyżej, ale niestety są też złe wieści. Nie jest to nie wiadomo co, a przynajmniej mam taką nadzieję, mimo wszystko trochę się martwię. Mianowicie moja mama ciężko się rozchorowała, była nawet u lekarza, a to oznacza, że coś jest na rzeczy – w końcu mama należy raczej do tego typu ludzi, którzy do lekarza idą dopiero, jak im nogę urwie, a i wtedy twierdzą, że to nic wielkiego. Chyba każda mama tak ma. Cholerne terminatory.

A co u naszych przyjaciół?

Patryk dostał główną rolę w jakimś spektaklu, na którym mu mega zależało. Wcześniej robił tylko za dublerów, aż tu nagle reżyser wkurwił się na gwiazdę przedstawienia i wywalił typa z obsady. Patryk z automatu wskoczył na jego miejsce. Mega się ucieszył (może dzięki tej szansie przejdzie też do głównego składu w innych spektaklach). Przygotowania szły gładko, wszystko zapowiadało się super. Przyszedł czas premiery. I co? I pełen sukces. Tylko na widowni zabrakło jednej osoby – była Patryka, mimo że ją zapraszał, postanowiła nie skorzystać.

U Alicji też sprawy poszły w dobrym kierunku. Dostała tamtą pracę. A skoro o pracy to i ja się pochwałę. Nie dość, że dostałem awans, czym niesamowicie się jaram, zwłaszcza teraz, to jeszcze dupek Damian wyleciał z roboty. Szef przyłapał go na jakimś wałku i z miejsca dał wypowiedzenie. Aż ciepło się na serduchu robi.

Pamiętnik Adriana Linmana – 2022.08.05

Dzisiaj zacznę od Patryka i Alicji, bo będzie krócej. U nich wszystko gra, choć oboje wspomnieli o jakiejś dziwnej pleśni. U każdego z nich pojawiła się pod oknem i zaczęła rozrastać w niesamowitym tempie. Okay, zdarza się, ale oboje napisali o tej pleśni coś dziwnego. Plamy nie były czarne, tylko jasnozielone. Można pomyśleć, że to jeszcze nic nadzwyczajnego, tyle że ta pleśń i u Patryka i u Alicji świeciła w nocy. No, świeciła to za dużo powiedziane, ale lekko fosforyzowała. Przyznam, że gdyby u mnie pojawiła się świecąca w ciemności pleśń, spieprzałbym jak najdalej choćby w środku nocy.

No dobra, tę dwójkę mamy z głowy, to pora na mnie. W pracy idzie świetnie, roboty mimo awansu mam mniej i za lepszą kasę, plus lepsze biuro, lepszy komp. Tu narzekać nie mam na co. Gorzej ze sprawami rodzinnymi. Mama czuje się coraz gorzej, tatę też siekło, nie aż tak mocno, ale coś mi się wydaje, że to dopiero początek.

No i Ewa. Jest w szpitalu. Wygląda, jakby złapała to samo paskudztwo, co mama i tata – może jak ostatnio u nich byłem, to przytargałem coś na ubraniu, cholera wie. Ja za to czuję się świetnie. Ale wrócę do Ewy. Jest w szpitalu bardziej ze względów profilaktycznych. Jej ginekolog zasugerował, że ze względu na historię poronień lepiej, żeby została pod obserwacją. Oboje uznaliśmy, że w przypadku ciąży lepiej dmuchać na zimne. To tyle.

Dobranoc.

Pamiętnik Adriana Linmana – 2022.08.07

Dzisiaj będzie krótko, bo muszę zaraz pędzić do Ewy. Do rzeczy, zauważyłem pod oknem jakieś plamki i to chyba pleśń – na szczęście (o ile w przypadku pleśni pod oknem można mówić o szczęściu) plamki są czarne.

Co do Patryka, wróciła do niego eks. Przez cztery strony rozpisywał się o tym, jak to bardzo jest szczęśliwy z tego powodu, aż tu nagle trach – ta jego dziewczyna, a w zasadzie narzeczona, bo się zaręczyli, zachorowała. Patryk wspominał o problemach z oddychaniem, saturacji spadającej momentami do dziewięćdziesięciu procent, bólach stawów, paskudnym, suchym kaszlu, jak przy zapaleniu krtani, którego ataków nijak nie można powstrzymać, można je co najwyżej przeczekać i nawet inhalacje ze sterydów za bardzo nie pomagają.

Tak szczerze, normalnie bym się tym aż tak nie przejął, ale czytam dalej pamiętnik Patryka i... Może to tylko dziwna, przypadkowa zbieżność, może nie ma się czym martwić. Ale z drugiej strony... Nawet jeśli coś jest mało prawdopodobne, to wszechświat jest tak wielki, że rzeczy mało prawdopodobne dzieją się tam cały czas. Może tym razem trafiło na mnie?

Mama i tata też mają takie objawy – mama silniejsze, dlatego leży teraz w szpitalu.

U Alicji również nieciekawie. Kot zdechł. Weterynarz stwierdził niewydolność oddechową. Co gorsza, Agata – ta jej przyjaciółka, u której cały czas mieszka (jakoś nie może się wyprowadzić, mimo że znalazła pracę) – zachorowała. Jej dzieci (Agaty się znaczy) również. Cholera, może to jakaś kolejna epidemia?

Pamiętnik Adriana Linmana – 2022.08.10

Kurwa. Albo mam omamy przez cały ten stres i w ogóle siada mi już na mózg, albo padłem ofiarą najrzadszego we wszechświecie zbiegu okoliczności. Jest jeszcze jedna ewentualność – pamiętnik jest przeklęty, a ja mierzę się z siłami nieczystymi. Dobra, to ostatnie nie było na poważnie, chociaż kiedy pierwszy raz o tym pomyślałem, dostałem takich dreszczy, jak jeszcze nigdy w życiu.

Pleśń zmieniła kolor na jasnozielony. Rano obudziła mnie jej lekko fosforyzująca poświata. Tak, wiem, odwała mi – na pewno da się to jakoś racjonalnie wytłumaczyć. Może to jakiś nowy rodzaj pasożyta, pleśni, nie wiem, nie znam się na tym. W zasadzie to może być nawet zwykła pleśń. Nie odróżniłbym jej od jakiejś kosmicznej. Po południu chciałem zadzwonić do specjalisty, ale jak na złość wszyscy mieli zajęte telefony. Dwóm wysłałem smsy, może odpiszą.

Tyle u mnie. Co do Patryka, hajtnął się z Moniką (za ekspresowe wesele zapłacili krocie, co do ślubu kościelnego, Patryk wolał nie pisać, ile sypnął „co łaska” za ekspresowy termin). I na tym dobre wieści się kończą, bo jego świeżo upieczona żona prosto z wesela trafiła do szpitala. To znaczy, dostał jeszcze główną rolę w spektaklu, którym się jarał od lat, podpisał też nowy kontrakt, niesamowicie korzystny, jak sam twierdził, ale przy nagłym zachorowaniu żony wszystkie sukcesy nagle zbledły. Co gorsza, zaczął się skarżyć na... szepty. W całym tym zabieganiu i stresie zapomniał o śnie i dbaniu o siebie, swoje zdrowie, odpowiedni wypoczynek, nic więc dziwnego, że mózg zaczął mu płatać figle. Choć, muszę przyznać, kiedy pierwszy raz przeczytałem o głosach, które słyszał, zbladłem i nabrałem przemożnej ochoty na spalenie pamiętnika. Otrząsnąłem się jednak i dałem dojść do głosu rozsądkowi. Najwyraźniej, skoro ja się zaharowuję, Patryk się zaharowywał i oboje słyszemy szepty, to jest to chyba normalny objaw przepracowania.

U Alicji odrobinę lepiej. Co prawda tęskni za kotem i za Agatą, która razem z dziećmi wylądowała w szpitalu (jedno w stanie ciężkim – od razu trafiło pod respirator), niemniej w pracy zalicza same sukcesy.

Jak tak na to teraz patrzę, to nachodzą mnie wątpliwości, czy te ich sukcesy zawodowe są cokolwiek warte. Ten ma żonę w szpitalu, ta przyjaciółkę, oboje mają więcej zmartwień, niż kiedykolwiek wcześniej. Cholera, może lepiej być zwykłym szarakiem, zwolnić, dać sobie spokój z ambicjami?

Dobranoc.

Pamiętnik Adriana Linmana – 2022.08.15

Monika jest w stanie ciężkim. Patryk ma wrażenie, że to przez ten pamiętnik. Zastanawia się, czy go spalić. Przyznam szczerze, moje szepty coraz częściej podpowiadają mi podobne rzeczy.

Pamiętnik Adriana Linmana – 2022.08.16

Dzisiaj miałem telefon z pracy, nieoficjalny – szykuje się duży kontrakt i to ja mam go poprowadzić. Ja. Jeśli dam radę, jeśli ogarnę temat, wyślą mnie do filii w NY. Nowy, kurwa, Jork! Czas zawalczyć o marzenie!

Pamiętnik Adriana Linmana – 2022.08.16 (drugi wpis)

Tak sobie czytałem później wpisy Patryka i wyszło, że zdecydował się w końcu spalić pamiętnik. Efekt – żaden. Pamiętnik się nie pali. Nie mam pojęcia ile w tym prawdy, ale Patryk ma dziwne wrażenie, że musi go komuś oddać. Szepty, choć ich nie rozumie, twierdzą, że musi ręcznie i osobiście przepisać klucz – pewnie chodzi o ten cholerny wiersz. Musi też spalić zielone znamię. Gość zaczyna fiksować. Zielone znamię – pleśń, to jasne, ale nie spali przecież swojego mieszkania. Chociaż... Nie wiem, może chodzi o metaforyczne wypalenie – zamówi specjalistę od odgrzybiania mieszkań?

Pamiętnik Adriana Linmana – 2022.08.17

Kiedy obudziłem się rano, całe mieszkanie porastała ta przeklęta pleśń. Całe, kurwa! Nie wiem, co robić.

Mama nie żyje.

Pamiętnik Adriana Linmana – 2022.08.20

Już po pogrzebie. Ojciec nie miał ani głowy, ani zdrowia do zorganizowania wszystkiego, mnie, wstyd się przyznać, zabrakło kompetencji. I jaj. Ciotka, siostra mamy, ogarnęła wszystko. Pogrzeb, stypę, ojca, a nawet trochę mnie.

Nie chcę tu opisywać pogrzebu. W ogóle nic nie chcę. Kurwa! Niby człowiek wie, że kiedyś ten dzień nadejdzie, ale jakoś nigdy nie jest na niego wystarczająco przygotowany. Może to przez te wszystkie myśli, że to... moja wina. Znaczący, pamiętnika, tego, że go znalazłem, otworzyłem, że zacząłem w nim pisać.

Szepty są coraz częstsze. I głośniejsze. Nie wiem, jak szept może być głośny, ale w mojej głowie może i jest to cholernie irytujące uczucie. Nie, nie irytujące. To określenie jest za słabe. To jest taki dźwięk, który jest gdzieś w tle, ale na tyle dobrze słyszalny, że zakłóca wszystko inne. To jest takie uczucie, jak wtedy, gdy leżysz w łóżku, wiesz, że musisz rano wstać i w sumie jesteś niesamowicie zmęczony, wręcz padasz na pysk, ale za Chiny Ludowe nie możesz zasnąć. I wierzysz się coraz bardziej i bardziej, zmieniasz pozycje, przekręcasz się z boku na bok, już ci się wydaje, że trafiłeś z wygodną pozycją i nagle wszystko pod skórą zaczyna swędzieć. Znowu, choć minęły zaledwie dwie sekundy, musisz się obrócić.

Stałem nad grobem matki i zaciskałem w kieszeniach pięści tak mocno, że paznokciami rozciąłem sobie skórę po wewnętrznej stronie dłoni. Szczęki miałem tak zwarte, że chyba ułamał mi się ząb. Trudno. Nad grobem matki nie będę się przecież wiercił. Mimo swędzenia mózgu wytrzymałem.

Są też dobre wiadomości. Stan Ewy, choć nienajlepszy, jest stabilny. No i podpisanie kontraktu z nowym klientem idzie jak po maśle. Gładko, bez spięć, chwilami mam wrażenie, że aż za łatwo.

Pamiętnik Adriana Linmana – 2022.08.20 (drugi wpis)

Zerknąłem co tam u moich pamiętnikowych znajomych. Patryk wpisał się po raz ostatni. Napisał ten cholerny klucz-wiersz i schował go do koperty. Przykleił ją do okładki, a sam pamiętnik zamierzał zostawić w parku. Znalazcy życzył na koniec powodzenia.

Alicja też wspomniała o szeptach – kazały jej przekazać pamiętnik dalej i spalić pleśń. Nie chciała tego zrobić. Przecież nie podpali mieszkania przyjaciółki. Ostatecznie postanowiła olać „zielone znamię” i po prostu przekazać pamiętnik, licząc, że w ten sposób przekaże też dalej swoje kłopoty. Pamiętnik chciała zostawić w parku – tym, w którym ja go znalazłem.

Wychodzi na to, że teraz moja kolej.

Pamiętnik Adriana Linmana – 2022.08.21

Jest źle. Nie! Jest chujowo. Kurwa, jest do dupy i to mało powiedziane. Rano dzwonili ze szpitala – stan Ewy...

Musieli ją reanimować. Jest pod respiratorem. Nie wiedzą, czy...

Nie wiedzą ani co jej jest, ani czy dziecko... da radę.

Muszę się przejść.

Pamiętnik Adriana Linmana – 2022.08.21 (drugi wpis)

Znalazłem w necie dwa artykuły, które chyba opisują dalsze losy Patryka i Alicji. No, za ciekawie to to nie wygląda. Żona Patryka zmarła, a on... Alicja straciła jedno z dzieci.

Nie dam zabić Ewy.

Idę.

Artykuł w lokalnej prasie, data publikacji: 2022.04.27

Tragedia pod Warszawą, znany aktor zginął w pożarze – podejrzenie samobójstwa

Patryk W., znany lokalnej społeczności jako działacz społeczny, a przede wszystkim wschodząca na deskach teatru aktorska gwiazda, tragicznie zginął we wtorkowym pożarze. Według informacji od rzecznika policji, śledczy nie wykluczają samobójstwa.

Na początku roku Patryk W. hucznie rozstał się z ówczesną partnerką, Moniką Wojciech-Adamską. Powodem rozstania była zdrada, jakiej dopuściła się znana raperka, tak przynajmniej brzmiała wersja oficjalna. Na salonach szeptano, że Patryk W. podczas zeszłorocznej akcji dobroczynnej stracił cały majątek i to bankructwo aktora faktycznie podzieliło zakochanych.

Niedługo po rozstaniu Patryk W. zabłysnął w teatrze fenomenalną interpretacją Wolanda w musicalu „Mistrz i Małgorzata”. Zachwycił krytyków i najwyraźniej finansowo również odbił się od dna, gdyż niedługo później on i Monika Wojciech-Adamska ogłosili zaręczyny. Ślub odbył się jeszcze w marcu, w kaplicy pod wezwaniem Michała Archanioła. Para młoda, z racji na napięty grafik występów teatralnych i zaplanowaną trasę koncertową, miesiąc miodowy przełożyła na okres wakacyjny.

Na początku kwietnia manager Moniki Wojciech-Adamskiej ogłosił, że raperka przebywa w szpitalu i cała trasa koncertowa została odwołana. W międzyczasie Patryk W. błyszczał na deskach teatru, obsadzony w głównych rolach najbardziej kasowych spektakli. Dwa tygodnie po najgłośniejszej premierze roku, Patryk W. przeżył załamanie nerwowe – manager jego żony potwierdził, że raperka zmarła na niewydolność krążeniowo-oddechową.

Patryk W. wycofał się ze wszystkich spektakli i choć fani oraz krytycy mieli nadzieję na jego wielki powrót, ludzie z najbliższego otoczenia wspominali, że aktor ma się coraz gorzej.

We wtorek dwa zastępy strażackie ugasiły pożar w apartamentowcu przy ulicy Kosynierów 18. Ogień strawił apartament należący do Patryka W. Jego ciało znaleziono w środku. Według nieoficjalnych źródeł Patryk W. prawdopodobnie podpalił własne mieszkanie i chciał w ten sposób odebrać sobie życie.

Pogrzeb odbędzie się w najbliższą sobotę. Rodzina zmarłego dziękuje za przesłane kondolencje i udzielone wsparcie.

Artykuł w lokalnej prasie, data publikacji: 2022.06.23

Trójka dzieci ofiarami podpalenia. Policja podejrzewa matkę.

Dwa tygodnie temu na obrzeżach Śródmieścia doszło do pożaru w bloku mieszkalnym. Jedno z mieszkań spłonęło niemal doszczętnie, na miejscu przebywała wówczas Alicja M. i trójka jej dzieci. Dzięki szybkiej i sprawnej akcji straży pożarnej kobietę i dwójkę jej dzieci udało się uratować, najmłodsze niestety zginęło w wyniku zaccadzenia.

Alicja M. i ocalałe dzieci przewieziono do miejskiego szpitala, gdzie dochodzą do siebie. W międzyczasie policja prowadziła śledztwo, którego wyniki nie są jednoznaczne – rzecznik policji na pytanie pamiętnikarzy, czy doszło do podpalenia, odpowiedział, że nie

można wykluczyć takiej możliwości, jednak ze względu na stan zdrowia Alicji M. odroczone jej przesłuchanie.

Pamiętnik Adriana Linmana – 2022.08.25

Kimkolwiek jesteś, jeśli znalazłeś ten pamiętnik i go czytasz, pewnie zastanawiasz się, czemu jest w takim stanie. Być może zastanawiasz się też, gdzie są wpisy Patryka i Alicji, o których zdarzyło mi się wspomnieć. Otóż nie ma ich. Spaliły się. Znaczący, ja je spaliłem. Chciałem spalić cały pamiętnik, ale... złego diabli nie biorą, jak to się mówi.

Okładka nijak nie chciała się zająć, mimo że polałem ją benzyną. Spłonęły tylko kartki zapisane przez Patryka i Alicję. Swoje traktowałem otwartym ogniem i nic. Jakbym próbował spalić wodę.

Tak czy inaczej, mam trzy kanistry z benzyną – to na pleśń. Wybrałem całą gotówkę z konta – pewnie wszystko pójdzie z dymem, a wolałbym mieć dach nad głową. Poczekam, aż sąsiedzi pojedą do pracy i wtedy zabiorę się do roboty – tak, wziąłem dzisiaj wolne, czeka mnie ciężki dzień.

Pamiętnik Adriana Linmana – 2022.08.25 (drugi wpis – ostatni)

Benzyna strasznie śmierdzi – na stacjach pachnie jakoś mniej intensywnie, ale tutaj, w zamkniętym pomieszczeniu, rozlana z trzech kanistrów niemal wyżera mi oczy. Mam już wszystko przygotowane. Klucz-wiersz też.

Jeśli to czytasz, wybac mi. Mam nadzieję, że jesteś silniejszy ode mnie. Ja MUSIAŁEM zrobić to Tobie. Przykro mi. Wiesz, co trzeba zrobić.

Przepraszam.

ZŁY TERAPEUTA

Szymon Kosek

Trzymam się żółtej rurki tak mocno, że aż bieleją mi knykcie. Zerkam na pozostałych pasażerów; też trzymają, ale jakoś tak delikatniej. Pewnie zaciskają dłonie tylko wtedy, kiedy autobus bardziej szarpnie. Ja trzymam z całej siły, odkąd tylko wsiadłem. Mięśnie przedramienia zaczynają drżeć, a po mojej skroni spływa stróżka potu. Boję się, że jeżeli za chwilę żadne miejsce się nie zwolni, nie wytrzymam do mojego przystanku. Puszczę rurkę i akurat w tym momencie kierowca nagle wciśnie hamulec. Runę na podłogę, a ona rozerwie się jak stara kartka papieru, potem tak samo rozerwie się asfalt i biegnąca pod nim kanalizacja. I będę tak spadał, jakby nie było żadnej gleby, ani skorupy ziemskiej, ani płaszcza, ani jądra. I nie będę miał już żadnych wątpliwości, że to wszystko dookoła to nie był nawet żaden kolos na glinianych nogach, tylko licha pajęczyna, którą może zdmuchnąć najłżejszy podmuch kosmosu. A my trzymamy się jej jak przyklejone muchy, bo jednak wolimy zostać pożarci przez przędącego ją pajaka, niż rzucić się w pustkę.

Zwalnia się miejsce. Ludzie dookoła nadal nie wydają się dostrzegać zagrożenia. Siadam bez skrępowania. Nienawidzę podróży komunikacją publiczną, nienawidzę, jak to wszystko się tak trzęsie. Najgorzej, jak muszę dojechać gdzieś, gdzie jeszcze nigdy nie byłem – nowe trasy przerażają mnie najbardziej. A tak się właśnie teraz składa, że mój terapeuta ma nowy gabinet w nieznanym mi części miasta. Jadę dalej. Zamykam oczy, zaciskam pięści, zapieram się nogami o podłogę pojazdu.

– Przepraszam, czy wszystko w porządku? – Jakaś kobieta pochyla się nade mną i patrzy zatroskana.

– Tak, tak, w porządku.

- Na pewno? Czy mam wezwać pogotowie? – nie odpuszcza. Domyślam się, że jestem strasznie błądy.

– Tak, dziękuję – odpowiadam, posyłając jej uśmiech, który znika z mojej twarzy, gdy tylko kobieta się odwraca.

Coraz trudniej jest mi wierzyć, że terapia się powiedzie. Myślę, że jestem przypadkiem beznadziejnym. Najpierw przez rok byłem diagnozowany. „Jest pan trudnym pacjentem, muszę poświęcić temu trochę więcej czasu, by odpowiednio ukierunkować leczenie właściwe”, mówił terapeuta. A teraz niemal co sesję powtarza: „nigdy pan o tym nie mówił, to rzuca nowe światło na całą sprawę. Gdybym wiedział o tym wcześniej...”. Czasami mówię mu o swoich obawach, że boję się, że zrezygnuje z dalszego prowadzenia mnie, bo uzna, że to niemożliwe, bym kiedykolwiek wyzdrowiał. Bierze wtedy moje dłonie w swoje i mówi: „wiem, że bez terapii najprawdopodobniej odebrałby pan sobie życie. Nie zostawię pana, proszę się tym nie martwić”. I patrzy mi w oczy, a ja myślę, że wygląda wtedy jak Jezus Chrystus.

O boże, jak trzęsie! Przez dłuższą chwilę jadę odwrócony od okna i nie zauważam, kiedy zbliżamy się do torowiska. Tramwaj sunie równolegle z moim autobusem, czuję się, jakbym oglądał korpus jakiejś bestii, niszczyciela światów. Drgania sprawiają, że wszystko wokół zaczyna się zamazywać. Nie mogę na to patrzeć, więc chowam twarz w dłoniach i opieram na kolanach. Czy to już mój świat zaczyna się rozpadać?! Nienawidzę tramwajów bardziej niż autobusów; nienawidzę wszystkiego, co drga, trzęsie się i hałasuje. Bo drgania wywołują pęknięcia, a w nich zawsze może ukazać się pustka.

– Przepraszam, czy wszystko w porządku? – Znów ta kobieta; przytakująco kiwam głową.

– Ale na pewno?

Rozglądam się dookoła.

– Tak, to mój przystanek, dziękuję!

Wysiadam. W lewej dłoni trzymam teczkę, w prawej reklamówkę. Nawet nie wiem, co w nich mam, ale nie jest to istotne. Zastępują mi poręcze, barierki i płoty – taki pomysł terapeuty. Powiedziałem mu, że kiedy idę ulicą, przytrzymuję się wszystkiego, czego tylko się da na wypadek, gdyby ziemia pode mną nagle się zapadła. „Trochę to uciążliwe”, przyznałem, bo ciężko było przechodzić tak przez place i przejścia dla pieszych na szerokich ulicach. „A gdyby tak spróbować nieco oszukać pański umysł? Następnym razem, zamiast łapać się wszystkiego po drodze, niech pan złapie coś przed wyjściem z domu – reklamówkę, parasol czy paczkę chusteczek”. Spróbowałem i zadziałało. Zajęte ręce przestały instynktownie chwytać się wszystkiego dookoła.

Mam iść w lewo, przejść przez drogę, a potem nad betonowym ściekiem, który przepływa przez tę część miasta. Przechodzenie przez jezdnię też nie należy do

najprzyjemniejszych, ale na szczęście nie ma tu zbyt wielu samochodów ani torowiska. Do przejścia dla pieszych docieram powoli. Zanim postawię stopę na jakiegokolwiek płycie chodnikowej, najpierw delikatnie badam ją czubkiem buta i unikam tych poluzowanych. Przechodzę na drugą stronę i kontynuuję swój ślimaczy marsz. Jestem zbyt skupiony na bezpiecznym stawianiu kroków, by przejmować się spojrzeciami ludzi dookoła. Docieram do mostu, sunąca pode mną brudna woda przyprawia mnie o zawrót głowy. Powstrzymuję pokusę, by złapać się barierki i mimo wszystko idę dalej. Po przejściu przez rzekę oddycham z ulgą, bo wiem, że jestem już blisko. Uliczka prowadzi prosto, a potem skręca w prawo, ja jednak mam dotrzeć tylko do zakrętu i wejść do podwórza kamienicy przez furtkę, którą było widać już z mostu. Dojście do niej zajmuje mi około czterech minut. Nie do końca rozumiem, dlaczego terapeuta kazał mi wejść od strony zaniedbanego podwórza zamiast od frontu budynku. Po przekroczeniu furtki staję między śmierdzącymi śmietnikami; oprócz nich jest tu jeszcze tylko trzepak i kilka przypiętych do niego rowerów. Spoglądam w górę i gdy tylko unoszę wzrok, mam wrażenie, że firanka w jednym z okien opada, jakby przed chwilą ktoś tam stał. Czuję się nieswojo, ale ruszam w kierunku drzwi po prawej stronie. Mam nie dzwonić na domofon, przypominam sobie, odsuwając przytrzymujący je kamień i zgodnie z dalszą instrukcją wchodzę po schodach. Mijam okno, w którym zdawało mi się, że widziałem ruch – jest na półpiętrze, między pierwszym a drugim. To właśnie na drugim piętrze czekają na mnie otwarte drzwi do jednego z mieszkań. Wchodzę, zdejmuję kurtkę i zamykam za sobą drzwi. Dziwnie tu wygląda. W przedpokoju nie ma krzesel jak w poczekalni, tylko szafka na buty, wieszak i pawlacz. Do tego troje drzwi – z jednych dochodzi do mnie zapach świeżo wyczyszczonej łazienki; drugie wydają się zamknięte na głucho, a trzecie nagle się otwierają. W drzwiach pojawia się mój terapeuta.

– Dzień dobry, zapraszam.

Wchodzę do salonu, zupełnie nie przypomina to poprzedniego gabinetu. Kanapa, stolik, dwa fotele, telewizor – jak w zwykłym mieszkaniu. Terapeuta wskazuje mi fotel. Siada naprzeciwko, kładzie na stole notatnik; włosy opadają mu na ramiona, drapie się po brodzie i patrzy na mnie niebieskimi oczami.

– Jak się pan czuje? – pyta tonem zdradzającym gotowość do niesienia mojego krzyża wraz ze mną.

Opowiadam o kolejnym tygodniu nerwów, lęku i drżenia. O coś mnie dopytuje, ja dopowiadam. Tylko dlaczego tak zerka na zegarek?

– Rozumiem, rozumiem – przerywa mi nagle i zamykam usta, choć miałem jeszcze coś powiedzieć. Widzę, że chce mi coś oznajmić. Przez chwilę się wstrzymuje, po czym znów sprawdza godzinę i bierze głęboki oddech. Spodziewam się najgorszego.

– Myślę, że powinniśmy pchnąć naszą terapię na nowe tory. Musimy zrobić to, o czym rozmawialiśmy już od dawna.

Czuję ulgę, kiedy słyszę, że nie chce mnie porzucić. Ale czuję też, jak serce podchodzi mi do gardła. Nie jestem jeszcze gotowy na to, „o czym rozmawialiśmy już od dawna”. Moja twarz musi być teraz jednym wielkim przerażeniem, bo terapeuta od razu odgaduje, co się dzieje w moim wnętrzu.

– Wiem, że się pan boi, ale proszę mi zaufać. To będzie kluczowe doświadczenie dla pańskiego wyzdrowienia. Mówi pan o wiecznym stąpaniu po cienkim lodzie, o lęku, że wszystko wokół rozsypie się w drobny mak. Myślę jednak, że pora przestać odwracać wzrok – pora na spotkanie z prawdą.

Zadrzałem. Już od dawna powtarzał, że to nie świat się sypie – to sypią się kłamstwa, na których zbudowałem swoje dotychczasowe życie. „W niektórych rodzinach wszystko opiera się na fałszu, od chrzcin, przez niedzielne obiady i wigilijne kolacje, aż po pogrzeby i stypy. Dzieci to chłoną, dzieci się tego uczą i powtarzają te kłamstwa, budując sobie z nich cały świat, który jednak wraz z dorastaniem wydaje się coraz bardziej efemeryczny” – tłumaczył. Wyteżądałem wtedy pamięć, na ile tylko mogłem, by doszukać się tych oszustw; drobiazgowo analizowaliśmy moje dzieciństwo i wiek nastoletni, jednak każda taka próba kończyła się porażką. „Wrócimy do tego”, zapowiadał wówczas, zachęcając jednocześnie, żebym wreszcie pozwolił się temu wszystkiemu rozpaść, by wśród zgliszczy odnaleźć wreszcie swoją prawdę. Ja jednak bałem się, że spod ruin wychylić się może jedynie czarna pustka.

Nagle terapeuta zmienia ton, jego głos z ciepłego i uspokajającego zmienia się w zimny i twardy jak lód.

– Może pan zrozumie, jaka to łaska – mówi.

– Słucham?

– Tylko ktoś, kto zważył już we wszystko może zobaczyć prawdę w całej okazałości. I to nie tylko swoją, to co pan zobaczy, może mieć znaczenie nie tylko dla pana. Niektórzy oddaliby wiele, żeby móc choć rzucić okiem. I ja jestem wśród nich – znów zerka na zegarek, podnosi się z fotela i staje przy oknie.

Chcę mu powiedzieć, że jeszcze nie podjąłem decyzji; że nie chcę tego robić, że chcę żebyśmy porozmawiali o czymś innym. Jednak on mnie uprzedza, zwracając się do mnie już zupełnie inaczej:

– Za chwilę pod oknem przejedzie tramwaj, ale nie zamkniesz oczu. Będziesz patrzył i wszystko mi opowiesz – odwraca się w moją stronę. – A jeżeli nie będziesz chciał, to cię do tego zmuszę.

Trzęsę się i z trudem łapię oddech. Moje palce wbijają się w obicie fotela. Patrząc na niego, nie widzę już Chrystusa. Wargi ma ściągnięte w zaciętym grymasie, a z oczu zniknęło miłosierdzie dla całego świata. To dlatego chciał, żebym wszedł od podwórza – chce mnie wykorzystać, ale dobrze wie, że gdybym tylko zobaczył torowisko, od razu bym stąd uciekł. Z oddali słyszę dzwonek tramwaju, pewnie jakiś samochód zajechał mu drogę lub pieszy wszedł na tory. Zaczynam czuć delikatne drgania.

Zrywam się z fotela i rzucam się do drzwi, ale nie udaje mi się dostać nawet do przedpokoju.

– Są zamknięte – mówi terapeuta, a drgania się nasilają.

Chciałbym się rozpędzić i wyskoczyć przez okno, ale wiem, że mnie zatrzyma. Szukam czegoś, czego mógłbym się złapać, ale dostrzegam tylko reklamówki, które przyniosłem ze sobą. Dopadam do nich i ściskam je mocno. Słyszę, jak koła tramwaju stukają na torach. Szyby w oknach zaczynają dzwonić. Lampa pod sufitem lekko się trzęsie.

Zamykam oczy i padam na kolana. Staram się zacisnąć oczy najmocniej jak potrafię, do uszu wciskam sobie palce. Zwijam się w kłębek i trwam tak może przez kilka sekund, kiedy w końcu czuję, jak terapeuta wyrywa mi z rąk reklamówki i wsuwa swoje ręce pod moje pachy. Jest silniejszy ode mnie, wywleka mnie zza fotela i rzuca na podłogę między stolikiem a telewizorem.

– Otwórz oczy – mówi spokojnie, ale twardo.

Kiedy nie reaguję, łapie mnie za włosy, tak, żeby podnieść moją głowę i uderza mnie dłonią w twarz. Po kilku kolejnych ciosach ulegam i otwieram oczy. Widzę jego zmarszczone brwi, ale nie jest wściekły, raczej skupiony. Ale jest coś jeszcze – drgania ustały, tramwaj musiał już odjechać.

– Nie bój się, za chwilę przyjedzie kolejny. Poczekamy.

Wykręca mi ręce w tył i wplata w nie swoje ramiona tak, że nie jestem już w stanie się poruszyć. Zamykam oczy i w tym momencie czuję, że wykonuje jeden nieznaczny ruch, po którym momentalnie całe moje ciało przeszywa bolesny impuls; aż rozchyłam usta w bezgłośnym jęku. Otwieram oczy, ból ustaje.

– Zrozumiałeś? – pyta, a ja kiwam w odpowiedzi głową. Nie mija kilka minut i znów zaczynam czuć drgania. Tym razem nie mam gdzie uciec. Szyby dzwonią coraz głośniejszy, lampa nad nami nieznacznie mruga. Wreszcie drgania przenoszą się na podłogę i ściany budynku. Mrugam oczami, próbuję je zamknąć. Staram się mu wyrwać, ale za każde nieposłuszeństwo jestem karany falą bólu. W kątach pomieszczenia pojawiają się pierwsze pęknięcia, które natychmiast rozchodzą się po ścianach. Na podłodze lądują płaty farby, sypie się biały tynk, spadają obrazy. Pęka podłoga, stolik pod telewizorem podskakuje od wstrząsów i po chwili płaski ekran spada z trzaskiem. Ze ściany za nim odpadł już tynk, widzę cegły, na których pojawiają się kolejne pęknięcia.

– Co widzisz?! Mów co widzisz! – terapeuta krzyczy do mojego ucha.

– Wszystko się sypie!

Kiedy to wywrzaskuję, widzę, jak ceglany mur rozpada się, ukazując ciemną otchłań. Cegły spadają w mrok i nie słyszę, by w coś uderzały; jakby opadały w samą wieczność. Nagle drgania ustają. Czuję, jak terapeuta zwalnia chwyt i nastaje cisza. Podnoszę się i stoję po środku zrujnowanego pokoju z widokiem na ciemność. Moje serce uspokaja się. Patrzę w otchłań i nasłuchuję.

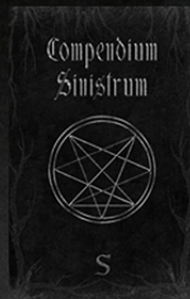
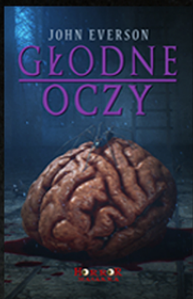
– I co? I co?! – dopytuje z podnieceniem terapeuta.

Podnoszę palec do ust w uciszającym geście.

Mam wrażenie, że coś słyszę, coś jak ledwo wybrzmiewające, miarowe uderzenia. Co jakiś czas dociera do mnie też coś, jakby melodia, która po chwili zamiera, by kilka sekund później znów się obudzić. I nawet gdybym chciał, nie potrafiłbym opowiedzieć terapeutycie o tym, co teraz widzę. Momentami wydaje mi się, że patrzę na nieprzeniknioną kurtynę, za którą wieczność skrywa swoje sekrety. Potem mam wrażenie, że kurtyna opada, ale widzę tylko niewyraźne zarysy nieznanymi mi kształtów; jakbym próbował przebić się wzrokiem przez gęsty, ponury las w czarną, bezksiężycową noc. Następnie wszystko znika, jak za podmuchem wiatru. Znów patrzę w otchłań, w bezdenną studnię bezgwiezdnego kosmosu. Wyciągam dłoń spodziewając się przenikliwego chłodu, ale nie czuję niczego takiego. Ciemność wita mnie delikatnym, kojącym powiewem. Robię krok w jej kierunku, a potem następny. Lekki podmuch rozwiewa moje włosy, moje napięte mięśnie rozluźniają się. Chcę jej dotknąć, chcę, żeby ona dotknęła mnie. Wydaje mi się taka ciepła, taka pierwotna, taka bliska. Słyszę za sobą wrzask:

– Stój! Co ty robisz! Mów, co widzisz, nie ruszaj się!

Ale ja stoję już na krawędzi. Biorę głęboki wdech i czuję, jak pustka wypełnia mi nozdrza. Wystarczy jeden krok. Jestem gotów.



GRAFIKA | OKŁADKI | PLAKATY

✉ jo.widomska@gmail.com

📘 By Widomska 📷 by_widomska

